ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK V. NR 35/219

LONDYN, NIEDZIELA 2 WRZEŚNIA 1951 R.

STANISŁAW KOPAŃSKI

16 i 17 WRZEŚNIA 1939 W SZTABIE N.W.*)

Drukujemy fragment ze „Wspomnień wojennych“ gen. S. Kopańskiego, napisanych w latach 1949/50.

Fragment ten stanowi prawie pełną treść ostatnich dwóch rozdziałów II części „Wspomnień“, noszącej tytuł: „W sztabie Naczelnego Wodza podczas kampanii wrześniowej“. Urywki z części IV i V pojawiły się niedawno w książce: „Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich“, a fragmenty części VII dotyczące decyzji „Bitwy o Warszawę“ w 1944 r. — w „Orle Białym“ w numerach od 7 kwienia do 5 maja b.r.

DZIEŃ 16 WRZEŚNIA upływał w Sztabie na dalszych przygotowaniach „przyczółka“**) do obrony.

Gen. Langner otrzymał rozkaz (przez radio do Lwowa i juzem do Bóbrki): „Maczek z brygadą natychmiast do Stanisławowa“.

Wyszedł też rozkaz przygotowania do zniszczenia zagłębia naftowego:

„Dowódca armii, gen. Fabrycy, Stanisławów. Naczelny Wódz nakazał przygotować wszystkie szyby w Zagłębiu Borysławskim oraz rafinerię w Drohobyczu do spalenia. Ludzie wyznaczeni do palenia mają być stale na stanowiskach. Palić należy dopiero w chwili bezpośredniego zagrożenia zajęcia tego rejonu przez nieprzyjaciela. Wszystkie zapasy benzyny i nafty należy natychmiast załadować i wywieźć, kierując na Kołomyję przez Stanisławów. Zapasy tak załadowane jak i nie załadowane, których nie dałoby się wywieźć, w wypadku bezpośredniego zagrożenia należy spalić. Z rozkazu Naczelnego Wodza — Stachiewicz Szef Szt. Nacz. Wodza.“

W dniu 16 otrzymaliśmy wiadomość o pomyślnej akcji generała Sosnkowskiego nad Wereszycą.

Ogólna ocena sytuacji w dniu tym zdawała się wskazywać na możliwość zorganizowania oporu na „przyczółku rumuńskim“ i dalszego prowadzenia walki.

Na ocenę tę wpływały następujące fakty:

— Sukces gen. Sosnkowskiego nad Wereszycą, który paraliżować musiał w znacznym stopniu swobodę ruchów wielkich jednostek pancernych w płd. części frontu, która najbardziej bezpośrednio zagrażała organizującej się na Stryju i Dniestrze obronie.

— Obserwowane na całym froncie od kilku dni zwolnienie tempa marszu wielkich jednostek pancernych. W szeregu miejscowości czołgi i samochody stały bezczynnie z powodu braku benzyny. Straty i zużycie sprzętu i trudności w zaopatrzeniu musiały już poważnie utrudniać działanie tych wielkich jednostek. Można więc było przypuszczać, że nie potrafią one skutecznie zamknąć drogi, schodzącym na płd. własnym siłom, tymbardziej można to było przypuszczać co do większych jednostek piechoty nieprzyjaciela, które pozostały w większości w tyle w stosunku do wysuniętych wielkich jednostek szybkich.

Najbardziej bezpośrednim niebezpieczeństwem dla realizacji planu Naczelnego Wodza było lotnictwo nieprzyjaciela. Na decydującą jednak poprawę sytuacji pod tym względem musiałoby wpłynąć rozpoczęcie ofensywy na zachodzie, które miało nastąpić 17 września. Według wiadomości, które posiadaliśmy, Niemcy pozostawili na froncie zachodnim zaledwie 11 wielkich jednostek czynnych i nieznaną bliżej ilość wielkich jednostek rezerwy i Landwehry. Przy tak słabej obsadzie, musieliby z chwilą rozpoczęcia ofensywy aliantów, natychmiast rozpocząć przerzucanie sił na zachód, by nie dopuścić do przełamania linii Zygfryda.

W pierwszej kolejności musieliby przerzucić lotnictwo bombowe, co z miejsca odciążyłoby front polski. Z odciągnięciem sił lądowych nie mogliby bardzo zwlekać, ze względu na to, że wojska te były zaangażowane głęboko na terenie Polski, a wobec zniszczenia linii kolejowych musieliby je do załadowań odprowadzać do granicy niemieckiej, co zabrałoby dużo czasu.

Takie były motywy depesz, wysyłanych do aliantów, żądających pomocy lotniczej i rozpoczęcia ofensywy.

Jaka ilość wielkich jednostek będzie mogła dojść do przedmościa, trudno było przewidzieć. W każdym razie, biorąc pod uwagę powyższą ocenę możliwości nieprzyjaciela, liczono, że poważnej jej części uda się osiągnąć przedmoście rumuńskie.

Wzmocnienia stanów mogły one otrzymać ze znacznej ilości luźnych oddziałów formacyj zapasowych i marszowych, znajdujących się w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu i ściąganych na przyczółek.

Całość więc sytuacji wskazywała, że plan dalszego prowadzenia walki w oparciu o południowo-wschodnią część Małopolski miał pewne szanse realizacji.

Tę ocenę sytuacji i możliwości naszych podzielał Szef Misji francuskiej — gen. Faury — i zawiadomił nas, że odpowiedni raport wysłał do swych władz w Paryżu.

Z Szefami Misyj francuskiej i angielskiej, gen. Faury i Carton de Wiart, spotykałem się prawie codziennie, zwłaszcza w ostatnim tygodniu kampanii. Oficer Sztabu Misji angielskiej, ppłk. Gubbins, wysłał swą radiostację do gen. Dembińskiego***) oddając nam ją do dyspozycji.

Wieczór 16 września spędziliśmy w nastroju pewnego odprężenia. Któryś z kolegów wynalazł butelkę wina. Wypiliśmy ją, zapraszając do naszego towarzystwa i gen. Stachiewicza. Niektórzy z kolegów dość optymistycznie uważali nawet, że moment przełomowy kampanii mamy poza sobą.

* * *

O ile wieczór dnia 16 września dał nam mały przebłysk nadziei, to poranek 17 września, który muszę zaliczyć do najtragiczniejszych, zmusił do jej całkowitego wyrzeczenia się.

Zostałem po zdrowym i krzepiącym śnie, jakim od 1 września nie spałem, zbudzony nagle przez oficera służbowego Oddziału III, kpt. Jędrzejowskiego, około godz. 6-ej. Zameldował mi on, że bolszewicy przekroczyli Zbrucz i zajęli Husiatyn. Pokazał mi meldunki, które przyszły w ciągu nocy i poranka:

„Wiadomości przekazane przez placówkę ofic. w Sarnach:

W dniu dzisiejszym (16.9.) nasz pociąg osobowy dyplomatyczny władze sowieckie dopuściły tylko do stacji Krzywin, gdzie przyjęto pocztę i odprawiono pociąg z powrotem do Zdołbunowa. Władze sowieckie tłumaczą to uszkodzeniem mostu.

W dniu 15. 9. informatorzy meldowali o dużym skupieniu piechoty, artylerii i broni zmotoryzowanej na odcinku Szepietówka — Krzywin.“

Przyjęto je z Czortkowa o godz. 1.00 dnia 17 września.

O godzinie 4.45 dn. 17.9. odebrano fonogram z Czortkowa:

„Od godz. 3.30 w rej. Podwołoczysk, Dziewicza, Trybuchowiec, Husiatyna i Załucza jakieś nierozpoznane z powodu ciemności oddziały usiłują przekroczyć granicę sowiecką do Polski i w obecnej chwili trwa walka z oddziałami KOP. Z chwilą rozpoznania oddziałów zamelduję.“

O godz. 4.55 — od kpt. Fryzendorfa, z Szefostwa wywiadu KOP:

„O godz. 4.20 w rej. Podwołoczysk rozpoznano, że są to oddziały bolszewickie. Za nimi słychać szum motorów. W rej. Podwołoczysk, Toczysk i Siekierzyniec oddziały KOP wycofują się.“

O godz. 5.12 — od kpt. Fryzendorfa:

„Husiatyn zajęty przez wojska bolszewickie.“

Udałem się natychmiast z kpt. Jędrzejewskim do gen. Stachiewicza. Odchodząc z mej kwatery, obudziłem płk Klimeckiego, z którym od Brześcia stale razem mieszkaliśmy. Podałem mu położenie i poleciłem zebrać oficerów Oddziału III i poinformować o wkroczeniu Rosjan w nasze granice.



Pierwsze ruiny Warszawy.

Szef Sztabu miał zaraz udać się do Naczelnego Wodza. Na meldunek ppłk. Kotarby, dowódcy pułku KOP w Czortkowie, że opóźnia bolszewików walcząc, zostaliśmy upoważnieni odpowiedzieć „że „Pan Szef Sztabu zatwierdza zamiar Pana Pułkownika, polecił jednak, by elementy KOP, tam gdzie nie ma nacisku pozostawały, o ile możności na swym miejscu jak najdłużej, odchodząc tylko pod wyraźnym naporem“, na co ppłk. Kotarba zameldował: „Przewaga bardzo duża na wszystkich kierunkach. Bijemy się uporczywie i będę się starał jak najdłużej... osłonić“ wybrane kierunki.

O godz. 8.15 został zawiadomiony telefonicznie o nowym położeniu Szef Sztabu gen. Fabrycego oraz, że „pułk KOP z Czortkowa w walce z nieprzyjacielem przechodzi do opóźniania“.

Został on ponadto powiadomiony, że „Pan Marszałek polecił postawić w stan pogotowia wszystkie oddziały znajdujące się na Serecie z zadaniem stawiania bolszewikom oporu na tej linii“. Takie same depesze otrzymali gen. Łuczyński w Tarnopolu i gen. Jatelnicki w Mikulińcach.

Zaczęły gęsto napływać wiadomości:

Godz. 11.25: „O godz. 9.55 wojska rosyjskie kawaleria i czołgi weszły do Polski i znajdują się 8 km od Czortkowa. Wojska rosyjskie wchodzą na teren Polski bez użycia broni, salutując żołnierzy polskich.

W rejonie Skała KOP nie uprzedzony użył broni.

Po potyczce wojska nasze cofnęły się.

Posterunek w Czortkowie prosi o wskazówki ustosunkowania się do wkraczających wojsk rosyjskich.“

Godz. 12.45: „Naczelny Wódz.

Smorawiński****) melduje przekroczenie przez Sowiety granic naszych pod Korcem i Zbarażem. Smorawiński zakazał walki z nimi.

Sowieckie wojska nie strzelają do naszych oddziałów“...

Równocześnie przyszedł telegram:

„Naczelne Dowództwo. Dziś, dnia siedemnastego września 1939 roku o godzinie czwartej rano przekroczyły granicę trzy kolumny bolszewickie. Jedna pancerna pod m. Korzec, druga pancerna pod m. Ostróg, trzecia kawaleria z artylerią pod m. Dederkały. Wszystkie kolumny są bez piechoty i maszerują na zachód. Policja zachowuje się biernie. Bolszewicy jadą z otwartymi klapami, uśmiechają się, powiewają czapkami, ale nie odpowiadają na żadne pytania oficerów KOP. Około ósmej godziny kolumna północna osiągnęła czołem wysokość m. Hoszcza. Wiadomości powyższe otrzymałem od Dowódcy Pułku KOP Zdołbunów w m. Równe. Zapytuję, jak zachować się w stosunku do bolszewików. Odpowiedź proszę przesłać do Komendy Garnizonu Dubno. — Dowódca Grupy Łuck, Skuratowicz gen. bryg.“.

Dalsze meldunki mówiły o przekroczeniu granicy przez bolszewików na całej jej rozciągłości, aż do północy.

Szef Sztabu prosił Naczelnego Wodza o zasadniczą decyzję w sprawie zachowania się wobec bolszewików.

Decyzja ta wraz z rozkazem przechodzenia wojsk na Rumunię i Węgry zapadła około godz. 12.00 na konferencji Naczelnego Wodza z Premierem i Ministrem Spraw Zagranicznych.

Naczelny Wódz wyjechał po godzinie 12 do Kosowa, gdzie miała się odbyć u Prezydenta Rzeczypospolitej narada Rządu.

Dyrektywa Naczelnego Wodza nakazywała:

„Z powodu sytuacji wytworzonej marszem wojsk bolszewickich na teren Polski wycofywanie oddziałów i sprzętu na Rumunię względnie Węgry. Bolszewicy jak dotąd nie atakują nas, twierdząc, że idą przeciwko Niemcom.

W to oczywiście wierzyć nie można, ale Naczelny Wódz chce wykorzystać ten okres, przez który oni nas nie atakują, ażeby jak najwięcej wojska i sprzętu ściągnąć do Rumunii, w drugiej kolejności na Węgry... W stosunku do sowieckich oddziałów ogólna dyrektywa jest, że my z nimi bić się nie zaczynamy i walczyć musimy tylko w tym wypadku, o ile oni będą nacierali, czego do tej pory nie ma“.*****)

Zapadła decyzja cofnięcia też i Sztabu Naczelnego Wodza do Kosowa. Oddział III wyruszył z Kołomyi w godzinach popołudniowych. Szef Sztabu pozostał jeszcze w Kołomyi z kilkoma oficerami, by nadać rozkazy do wojska. O ile pamiętam, z oficerów Oddziału III pozostali z nim: ppłk Krubski, mjr Czyżewski i kpt. Chocianowicz.

Od wyjazdu z Kołomyi nie widziałem gen. Stachiewicza aż do spotkania w Rumunii, w Tulczy. Nie mieliśmy też z nim więcej łączności.

W pogodny wieczór, jak niestety pogodne były wszystkie wieczory tych siedemnastu dni września, zatrzymaliśmy się w lasku pomiędzy Pistyniem a Kosowem. Ciążyło nam, wszystkim oficerom oddziału operacyjnego, uczucie bezsilności wobec wypadków oraz nieznajomość oceny przez naszych przełożonych możliwości na przyszłość.

Po krótkiej naradzie z płk Klimeckim i ppłk Mareckim zwróciliśmy się wszyscy trzej do płk Jaklicza, mówiąc mu, że skoro jedziemy na obce terytorium, chcielibyśmy wiedzieć, jakie są dalsze zamiary naszych przełożonych. Że na terytorium Polski walczy jeszcze Warszawa i dywizje gen. Sosnkowskiego, do których moglibyśmy się dostać marszem. Że wydaje się nam, iż stajemy się sami nadal odpowiedzialni za nasz honor żołnierski.

Płk Jaklicz zwrócił nam ostro uwagę, że Naczelny Wódz ma na pewno podstawy do swych decyzji. Że ma dość w tej chwili on i Szef Sztabu kłopotów i nie powinni im ich przysparzać wyżsi oficerowie Sztabu.

W czasie tego krótkiego postoju zwrócił się do mnie przejeżdżający samochodem płk dypl. Wenda z uwagą, że Marszałek w Kosowie jest narażony na niebezpieczeństwo, wobec przekroczenia Dniestru przez czołgi sowieckie i powinienem ubezpieczyć, ewentualnie przez oficerów oddziału, kierunek na Kołomyję. Odpowiedziałem, że obaw jego na razie nie podzielam i że ubezpieczenie przez oficera z pistoletem nie jest zbyt skuteczne przeciw czołgom.

Po przybyciu do Kosowa zatrzymaliśmy się w restauracji lub raczej w karczmie u zbiegu szos do Kołomyi i Worochty. Przed budynkiem stał mały samochód, którym przyjechał gen. Sikorski z mjr. dypl. Bogusławskim.

Spotkaliśmy Generała i majora w pokoju restauracyjnym, gdzie zebrali się płk Jaklicz, Wiatr, Klimecki i ja. Gen. Sikorski prosił płk. Jaklicza, by mu wyjednał przyjęcie przez Naczelnego Wodza, do którego płk Jaklicz miał się zaraz udać.

Po zmroku wyruszyliśmy w stronę Kut. Była to noc równie koszmarna jak ta, w którą jechałem z Warszawy do Siedlec. Z tym, że uczucia nas dławiące były jeszcze cięższe.

Z trudnością do świtu 18 września osiągnęliśmy Kuty wobec zatłoczenia szosy.

W tym cichym, ustronnym, pięknym miasteczku rozgrywał się ostatni akt naszego dramatu.

Zjeżdżaliśmy ku Czeremoszowi. Mimo woli wysiadłem z samochodu i szedłem pieszo na most graniczny.

Zatrzymałem się na nim i czułem, jak mię coś ściskało za gardło. Chwila ta stawała się w mej świadomości symbolem utraty niepodległości. Lecz oto zaczęły mnie mijać samochody Oddziału III. Trzeba było ruszać dalej... w świat, w nieznane.

WNIOSKI I REFLEKSJE Z KAMPANII WRZEŚNIOWEJ

Po przekroczeniu granicy, w Rumunii, i później na obczyźnie wracałem, nieraz dyskutując z kolegami, do siedemnastu ciężkich dni spędzonych w Naczelnym Dowództwie.

Sądy nasze i opinie, początkowo ostre i stanowcze, stopniowo stawały się bardziej powściągliwe. Wpływały na to różne czynniki, jak: wyjście ze stanu przygnębienia bezpośrednio po doznanej klęsce; przebieg wojny Niemiec z innymi państwami, z których nie jedno (Francję, Rosję) uważaliśmy za potęgi itp.

Sąd mój obecny, przy braku wciąż jeszcze perspektywy historycznej bardzo niepewny, dałby się może streścić w następujących tezach:

Kampanii nie mogliśmy wygrać bez silnej ofensywy sprzymierzonych zachodnich w przewidzianym umową w terminie.

Przy innym planie wojny, bardziej dostosowanym do naszych skromnych sił, może byśmy mogli w tym terminie (około 20 września) być w nieco lepszej sytuacji niż to miało miejsce. Może by więc nie doszło jeszcze do wystąpienia Rosji przed ofensywą Zachodu.

Poza rozproszeniem sił, o czym pisałem w 1939 r., planowi zarzuciłbym jeszcze brak dowództw „grup armij“ (ewentualnie „frontów“), czyli dowództw pośrednich pomiędzy armiami a Naczelnym Wodzem.

Z braków w kierowaniu kampanią widziałbym zmiany decyzyj, zwłaszcza w okresie 7 — 9 września. Może też nie zdawano sobie dostatecznie sprawy z trudności, które zbyt częste rozkazy stwarzały dowództwom armij i dywizyj.

Rzadsze, lecz nieco dalej przewidujące wytyczne, spełniłyby bodaj lepiej swą rolę jako instrument rozkazodawczy.

Porównując jednak reakcję polskiego Naczelnego Wodza i jego odpowiedników we Francji w 1940 r. lub w Rosji w 1941 wydaje mi się, że należałoby stwierdzić u nas może mniej rezygnacji, a mocniejszą tendencję przeciwstawienia się woli przeciwnika, nawet w najbardziej beznadziejnych sytuacjach.

Oto główne przejawy reagowania na wydarzenia przez polskie Naczelne Dowództwo:

1. Pada Śląsk 2 września — pivot frontu w koncepcji Naczelnego Wodza. Następuje próba przesunięcia oparcia tego głównego skrzydła dalej o Dunajec,

by mimo wszystko stoczyć bitwę armią „Łódź“, „Prusy“ i częściowo „Poznań“ (5 września).

2. Decyzja stoczenia bitwy „kutnowskiej“ i starania Szefa Sztabu zebrania do niej maksimum sił (8 września) oraz próba czasowej osłony na Wiśle i Bugu, by przejąć wojska z bitwy kutnowskiej. (9 września).

3. Próba zwijania frontu na południowy-wschód pod osłoną Wisły środkowej i przeniesienia działań na południowo-wschodni obszar kraju. (10 września).

4. Stanowcza wola kontynuowania kampanii w oparciu o „ostatnią redutę“ — przyczółek rumuński. (13 września).

Jak zaznaczyłem na wstępie tego rozdziału, sąd będzie tutaj należał do historyka. Może te wspomnienia dadzą mu trochę materiału. Starałem się, by nie miały one żadnych tendencyj osobistych.

Gen. Stanisław Kopański

---

*) **Fragment z pamiętnika.**

) **T.zw. przyczółek rumuński, ograniczony rzekami Dniestr i Stryj.

***) **Organizującego obronę rzeki Stryj.**

****) **Dowódca O.K. II, zginął w Katyniu.**

*****) **Wyciąg z rozmowy juzowej gen. Stachiewicza z płk. Rudką z godz. 16.00.**

Numer ŻYCIA z datą 16 września 1951

poświęcony będzie

Ś.P. PROF. WACŁAWOWI BOROWEMU

Artykuły i wspomnienia napisali specjalnie dla tego nru ŻYCIA:

Dr Witold Czerwiński,
Dr Maria Danilewiczowa,
Prof. Władysław Folkierski,
Gregory Macdonald,
Dr Maria Corbridge Patkaniowska,
Prof. Stanisław Stroński

Numer poświęcony ś.p. Prof. W. Borowemu **będzie powiększony** i obejmie 6 stron druku.

W nrze następnym ŻYCIA (9 września) zamieścimy sprawozdanie z wręczenia nagród pisarskich SPK.

KLEMENS RUDNICKI

UŁANI W OBRONIE WARSZAWY

FRAGMENT Z PAMIĘTNIKA

Po wszystkich dotychczasowych przejściach, szczęśliwe przebicie się nasze do stolicy miało dla nas specjalną wymowę.

Czuliśmy się psychicznie jak marynarze na statku, którzy po tygodniach burz i niespodzianek dobili wreszcie do stałego portu.

Mieliśmy dosyć włóczęgi po lasach, nieskoordynowanych walk, przedzierań się. Ciągłych zmian zadań, a przede wszystkim odwrotu.

Jeśli położenie ogólne było naprawdę tak złe, że chaos musiał w nim panować, grzebiąc sobą celowość naszych wysiłków — to teraz wreszcie mamy przed sobą jasny i niezmienny cel: obrona Warszawy.

Zdawaliśmy sobie oczywiście sprawę, iż nie będzie to żaden odpoczynek i byliśmy nastawieni na ciężką nawet walkę, ale przynajmniej o uchwytny i konkretny cel, a nie jakieś może wymagające bohaterstwa ale beznadziejne — tłuczenie się odwrotowe, bez widoków na przyszłe rozstrzygnięcie.

Byliśmy również przekonani, że Dowództwo Obrony Warszawy będzie uszczęśliwione z otrzymania nowego zastrzyku w postaci pewnego i wypróbowanego żołnierza, co by się pokrywało z naszym pozytywnym podejściem do zadań, które mogły nas w Warszawie czekać.

Tymczasem wszystko było odwrotnie.

W sztabie brygady dowiaduję się, że gen. Rómmel, dowódca wojsk Warszawy, jest mocno niezadowolony z naszego przybycia do stolicy. Nie chce nas. Ma dostateczne siły żywe do obrony, natomiast nie ma żywności dla nas ani, tym więcej, furażu dla koni. Objemy go i będziemy dlań jedynie ciężarem. Powinniśmy byli ominąć stolicę i bić się dalej w otwartym polu. Nie ma miejsca dla kawalerii w zamkniętym mieście. Zrobiliśmy niewybaczalny błąd, przebijając się do Warszawy i zamiast wzmocnić — osłabiliśmy jedynie jej potencjał obrony.

Teoretycznie miał gen. Rómmel prawdopodobnie rację, ale gdzież mieliśmy iść... u diabła?

Konsekwencją tego nastawienia są rozkazy, które przekazuje mi płk Strzelecki, dowódca brygady.

Grupa kawalerii opuści bezzwłocznie miasto i pójdzie z powrotem w otwarty teren, gdzie poszuka sobie możliwości współpracy z jakąś inną częścią Wojsk Polskich.

Wyjście nastąpi przez Wilanów, na południe po uprzednim przebiciu na tym kierunku pierścienia oblegających.

W związku z powyższym grupa kawalerii przegrupuje się w ciągu dnia 23 września w rejonie Belwederu, gdzie przygotuje się ostatecznie do nowego zadania oraz rozpozna i wybierze dokładne miejsce przebicia się. Wyłom dla niej wykonać ma 25 dywizja piechoty, która jest w trakcie napływania do Warszawy z lasów Palmirskich.

* * *

Po prostu wyrzucają nas z miasta. Wydaje się, że nie ma w całej naszej Grupie oficera lub ułana, który by przyjął powyższy rozkaz z entuzjazmem. Niemniej jednak rozkaz był kategoryczny.

* * *

Przechodzimy grupkami przez cały dzień 23 września, przecinając Warszawę z północy na południe. Do pułku dołączają dwa szwadrony 6 pułku ułanów pod rtm. Duszackim. Pułk ten ze względu na najmniejsze stany i zdaje się niedyspozycję dowódcy pułku zostaje przy reorganizacji brygady podzielony na dwie połowy pomiędzy 9 i 14 ułanów.

Warszawa wygląda jakby wyludniona, tramwaje nie chodzą, gdzieniegdzie tylko przemyka samochód wojskowy. Wszędzie małe grupki ludzi z bronią, często po cywilnemu. Są to wartownicy przy licznych barykadach i kozłach hiszpańskich. Widać jednak porządek i dobry duch.

Stajemy z pułkiem na alei Szucha, starając się ukryć konie pod drzewami, które tam wzdłuż chodników rosną. Dowództwo pułku rozbijamy w kasynie garnizonowym.

Dowództwo brygady lokuje się tuż obok nas w piwnicach GISZ-u*) w alejach Ujazdowskich.

Zniszczeń w mieście właściwie nie widać, wiele sklepów czynnych, otwarte są nawet i restauracje, w których jednak można dostać tylko zupę jarzynową bez chleba. Telefony działają normalnie, woda także.

Miasto wygląda jakby przywykłe już do stanu wojennego i zdaje się, iż dostosowało się nieźle do obecnych warunków.

Jest nam strasznie żal koni. Napojone wprawdzie ale głodne, obgryzają korę drzew i tłuką kopytami o asfalt. Wszystkie skwerki szybko wypasły.

O zmroku sytuacja nieco się polepsza, gdyż kwatermistrz brygady dostarcza trochę owsa z jakichś składów, z wyraźną jednak zapowiedzą, że na więcej liczyć już nie możemy. Jest to „na jutro" i „na drogę" i na tym koniec.

Oczekujemy lada chwila rozkazów wymarszu. Sprawa się jednak opóźnia. Dowiaduję się w Brygadzie, że owe zapowiedziane oddziały 25 dywizji dotychczas nie nadeszły.

Wreszcie widocznie coś się musiało wyjaśnić, gdyż dostajemy rozkaz podsunięcia się bliżej ku wyjściu, które nastąpić ma w nocy z 24 na 25. Jeden baon piechoty z pułku płk. Rawicza jest już podobno w drodze do nas i on ma być właśnie tym, co się dotychczas nazywało „oddziałami 25 dywizji piechoty".

Opuszczamy więc aleję Szucha i przed świtem 24 stajemy z pułkiem na ulicy Parkowej wzdłuż wysokiego muru Ogrodu Łazienkowskiego. Inne pułki zajmują ulicę Podchorążych i sam ogród.

Czekamy, ale równocześnie mamy już poważne wątpliwości, czy owe wyjście w ogóle nastąpi.

Byłoby to realne jedynie wówczas, gdyby załoga Warszawy mogła się zdobyć na głęboki wypad poważnymi siłami, który by rzeczywiście doprowadził do pobicia przeciwnika na wilanowskim kierunku i w ten sposób umożliwił Grupie Kawalerii wlanie się w wytworzoną lukę, bez potrzeby wiązania się i ugrzęźnięcia w walkach tuż pod stolicą.

Gdy więc 25 dywizja piechoty okazała się mityczną, były to bowiem resztki niedobitków z bitwy nad Bzurą, a zapowiedziany batalion nie mógł nigdy dojść do nas, a czas przytem uciekał, nabraliśmy pewności, że z wyjścia naszego nic nie będzie, lecz na odwrót wypadki same wciągną nas stopniowo w zadania obronne.

Życie bardzo szybko potwierdziło nasze przewidywania.

Aktywność przeciwnika na kierunku wilanowskim wzmogła się do tego stopnia (zresztą był to prawdopodobnie objaw ogólny przedpola stolicy), że już tegoż dnia nastąpiła konieczność wzmocnienia obrony.

Pułk wchodzi w pierwszą linię obrony i obsadza wylot ulicy Górskiej, naprzeciw lasku Sieleckiego oraz zajmuje czatą wysuniętą fort Dąbrowskiego.

Równocześnie wzmaga się bombardowanie z powietrza oraz ogień artylerii na miasto.

Jesteśmy tak pochłonięci nowym zadaniem i wypadkami, że wiadomość o jakimś ultimatum niemieckim, żądającym kapitulacji pod grozą zburzenia miasta, przechodzi mimo nas bez wrażenia.

Aż wreszcie nadchodzą owe tragiczne dla Warszawy dnie — 25 i 26 września. Dzień i noc, bez przerwy, trwają naloty i ogień artylerii. Obok szalejącego żelastwa i podmuchów, spadają na nas jakieś płonące kwapcie, które kleją się do dachów, do jezdni, skwerów — palą i topią. Wkrótce otaczają nas zewsząd pożary — miasto wali się i płonie bezsilne.

Z dowództwem pułku siedzimy nadal w parterowym mieszkaniu kilkupiętrowej kamienicy przy Parkowej. Bielecki jest na Górskiej przed laskiem sieleckim, Ksyk na forcie Dąbrowskiego. Łączności z nimi nie ma żadnej, telefony już przestały działać.

Noc z 25 na 26 września jest makabryczna. Nieprzerwany huk detonacji, przez który przebija się trzask płomieni oraz jakby łoskot walących się domów. Wydaje nam się, że słyszymy przyduszone krzyki ludzi. Piwnica naszego domu przepełniona kobietami, dziećmi. Wszystko to schroniło się do nas, wydaje się biedactwu, że u nas bezpieczniej — to jest przecież dowództwo. Złuda.

Czerwone, migocące płomienie oświetlają nasze konie, stojące cicho i bez ruchu wzdłuż muru Łazienkowskiego, podobne do szkieletów z siodłami na grzbietach. Kilka z nich leży zabitych, niektóre krwawią jakimiś wielkimi szarpanymi ranami. Błądzimy z Kowalskim pomiędzy nimi — bezradni. Kowalskiego koń „Cenzor" leży z rozwalonym brzuchem — żywy jeszcze. Tak niedawno wygrał „militari" w Tarnopolu — chluba naszą. Strzał w ucho, ażeby szybciej skończył. Jutro pewnie wytnie mu ktoś połeć mięsa z zadu — z głodu.

Pomimo ognia szalejącego wokół i gradu pocisków z góry — obrona żyje. Coraz to wykwitają z ogrodu Łazienkowskiego, gdzieś zza Belwederu, z Mokotowskiej — paciorki świetlne pelotek i drapią się pracowicie w górę, szukając samolotów.

Nagle, tuż za murem w Łazienkach rozszalało piekło ognia maszynowego i karabinowego. Nic tylko Niemcy przełamali pierwszą linię obrony i wdarli się na jej tyły — myślimy.

Alarm. Niezawodny por. Klaczyński biegnie z patrolem na rozpoznanie, musimy mieć wiadomości gdzie przeciwuderzyć.

Po chwili wraca, to nic, to tylko granat trafił w wóz taborowy z amunicją małokalibrową i ona eksploduje.

Rano są wiadomości od Ksyka — wyrzucili go z fortu. Biorę szwadron 2 pułku szwoleżerów rtm. Wieniawskiego, który podesłano mi z brygady i podprowadzam go ulicą Pełczyńską do przeciwnatarcia. W połowie Pełczyńskiej wskazuję mu ogólny dalszy kierunek: ma on podejść pod fort, nawiązać łączność z Ksykiem, który gdzieś tam musi być, i przeciwnatrzeć. Nic mu więcej nie mogę powiedzieć ani dać — żadnego wsparcia. Wieniawski jest w świetnej formie i nie widzę u niego ani na chwilę wahania, czy ociągania się. Mówi krótko „rozkaz" i rusza szybkim krokiem prowadząc ludzi skrajem ulicy, tuż przy domach. Słyszę go jeszcze przez chwilę, jak energicznym głosem podrywa ludzi, którzy przy bliższych wybuchach przysiadają tuląc się do ścian: „Nie ociągać się — naprzód".

Wreszcie tracę go z oczu i jak się potem okazało, tracę go na zawsze, mego serdecznego przyjaciela, rezerwistę i dzielnego ziemianina spod Grodziska, ojca dwojga prześlicznych dzieci, Antka Wieniawskiego.

Nie doszedł do fortu — wpadł po drodze w gwałtowny ogień, który zmiótł jego, a szwadron rozbił i rozproszył.

W forcie pozostali Niemcy.

Cały 26 wrzesień jest dla nas najcięższym dniem obrony.

Po utracie fortu Dąbrowskiego nieprzyjaciel podsunął się pod samą główną linię obrony. Bielecki ma go na odległości szturmowej i prawdopodobnie dzieje się to wszędzie.

Lada chwila można się spodziewać generalnego natarcia, tym więcej, że działalność ogniowa z powietrza i ziemi jeszcze wzrasta i wygląda na przygotowanie przed szturmem.

W tym napięciu mija nowa długa noc.

W nocy też otrzymuję rozkaz z brygady przedstawienia trzech żołnierzy pułku do Virtuti Militari i dwudziestu pięciu do Krzyża Walecznych. Dekoracja nazajutrz w sztabie brygady.

Wydaje nam się to nie w porę. Czyżby coś się już kończyło? Może nowe decyzje zapadły? Może układy? — Myśl tę jednak odrzucamy.

Jeśli chodzi o wyznaczenie kandydatów do odznaczeń, to wybór jest trudny — tylu zasługuje na odznaczenie!

Wreszcie decyduję: Virtuti dostaną: mjr Tomaszewski, rtm. Bielecki i rtm. Ksyk. 21 Krzyży Walecznych dzielę na szwadrony. 4 rozdzielam sam — w pierwszej kolejności dostaną je: por. Klaczyński, por. dr Paczkowski, rtm. Kowalski i kpr. Jakiełło.

Ranek 27 września. Nasilenie ognia jakby zmalało. Jadę z Tomaszewskim na dekorację do dowództwa brygady. Bielecki i Ksyk pozostają na odcinku i krzyże sam dla nich pobiorę.

W brygadzie dowiaduję się, iż rzeczywiście idą rozmowy z Niemcami o kapitulację. Prowadzi je gen. Kutrzeba w imieniu gen. Rómmla. Amunicja i żywność wyczerpane, ludność cywilna jest bez wody i stłoczona po piwnicach, żyje w okropnych warunkach, jest masę rannych i przysypanych walącymi się domami. Dalsze przedłużanie walki doprowadziłoby do zagłady ludności i nie miałoby żadnego sensu.

Z brygady skoczyliśmy łazikiem na Elektoralną do Szpitala św. Ducha, gdzie złożyliśmy naszych rannych, przywiezionych spod Sierakowa.

Z trudnością przebiliśmy się tam przez liczne obiazdy i z przerażeniem stwierdziliśmy, iż szpital już nie istnieje. Spalił się i zawalił, grzebiąc setki rannych.

Od ludzi na miejscu dowiadujemy się o szczegółach tragedii. Mała nadzieja w nas wstępuje. Mówią nam bowiem, że gdy szpital począł płonąć, kto tylko mógł utrzymać się na nogach, wypełzł z budynku i chronił się pod opiekę ludności, która ich rozbierała pomiędzy siebie. Obsługa zaś, z najwyższym poświęceniem, nie zważając na ogień artylerii i bombardowanie, wynosiła ciężko rannych i umieszczała ich po okolicznych piwnicach. Pracowała bez wytchnienia aż do chwili zawalenia się budynku. Wyniosła prawie wszystkich z korytarzy i zdaje się z dolnych sal. Inni zginęli.

Pamiętamy dobrze, iż nasi biedacy leżeli na piętrze, więc zapewne uratowani.

Zaczęliśmy ich gorączkowo szukać po piwnicach. Przy tej sposobności dopiero teraz ujrzeliśmy ową straszną gehennę ludności. Niewiarygodne cierpienia poranionych dzieci i kobiet, rodzin pomieszanych i matek, które pogubiły swe dzieci, a przy tym cienia nawet skarg czy żalu do nas, obrońców. Nie możemy na to patrzeć, jest to ponad nasze siły — mamy nieczyste sumienie. Zaprzestajemy poszukiwania, zresztą jedna z sióstr szpitalnych, którą odnajdujemy, zapewnia nas, że wszystkich rannych z parteru wyniesiono.

Wracamy —po drodze wpadamy do dowództwa armii w podziemiu PKO na rogu ulicy Świętokrzyskiej.

Odbywa się tam właśnie odprawa czy narada. Widzę generałów: Rómmla, Kutrzebę, Tokarzewskiego, Knolla, Czumę. Zamieniam parę słów z płk Pragłowskim, szefem sztabu gen. Rómmla. Tak. Kapitulacja właściwie zdecydowana. Toczą się rozmowy o jej warunki i wkrótce należy oczekiwać rozkazu zaprzestania walki, która straciła wszelki sens.

I tu również czujemy się źle... bardzo źle i śpieszymy jak najprędzej do pułku na odcinek.

W pułku położenie bez zmian. Normalna wymiana ognia, ale o ileż tu lepiej i przyjemniej, jeśli w ogóle można tak to określić.

Poprzez poprzebijane w murach dziury i wydeptane ścieżki śpieszę do Bieleckiego, pod lasek Sielecki, ażeby mu przypiąć do piersi Krzyż Virtuti Militari, na który tak bardzo zasłużył.

Z jakąż radością oddycham i krzepię się nastrojem szwadronu. Cienia zwątpienia. Mają przeciwnika dosłownie na kilkanaście metrów od siebie. Porobili sobie strzelnice w murach domów i gniazda w wykopach na ulicy. Strzelają przy najmniejszym ruchu i są dumni, iż przygwoździli Niemców do ziemi.

Zorganizowali znakomicie obronę do spółki ze znajdującym się tam oddziałkiem piechoty z obrony Warszawy oraz system wzajemnego luzowania się tak, że nawet odpoczywają.

Bez słowa przywiesiłem Antkowi jego Virtuti i uściskałem go serdecznie. „Ku chwale Ojczyzny" — odpowiedział z powagą... i po wszystkim.

Nie powiedziałem mu nic o toczących się rozmowach kapitulacyjnych — nie mogłem.

Powróciwszy przed zmrokiem do dowództwa na ulicę Parkową zastaję tam nowe rozkazy. Odebrał je Tomaszewski.

Mamy zejść z odcinka i przejść z pułkiem na ulicę Piusa XI, aby stanąć po bramach domów, jest to okolica względnie cała i znajdziemy tam ukrycie. Ja mam się zameldować w dowództwie po dalsze rozkazy.

Jadę do brygady — Tomaszewski ściąga pułk i grupkami przechodzi konno i pieszo do nowego rejonu, dołączę do nich wprost na Piusa XI.

Odprawa w brygadzie, słuchamy warunków kapitulacji. W uznaniu walorów żołnierskich obrońców — kapitulacja jest honorowa. Wojska niemieckie wkroczą do miasta dopiero po wyjściu z niego obrońców. Dowództwo niemieckie gwarantuje zwolnienie od domów wszystkich szeregowych i nie będzie ich traktować jako jeńców wojennych.

Do niewoli pójdą jedynie oficerowie z prawem zatrzymania przez nich broni białej, jako symbolu honorowej kapitulacji.

Złożenie przez oddziały broni palnej, ręcznej i maszynowej oraz dział nastąpi na zarządzenie polskiego dowództwa, w sposób zbiorowy, a nie w obecności przeciwnika.

Wyjście z miasta nastąpi w zwartych oddziałach w terminach uzgodnionych przez obydwa dowództwa.

Milcząc słuchamy tych ciężkich słów. Żadnych zapytań ani komentarzy. Rozumowo uznajemy konieczność decyzji kapitulacji ale uczuciowo nie przetrwaliśmy jej jeszcze. Coś jakby się za nami i przed nami zamknęło i nie możemy się z tym pogodzić. Czyżby na tym miał być koniec? I nic dalej? Doznajemy uczucia jak po uderzeniu obuchem w głowę — paraliż myśli. Nie widzimy jeszcze wyjścia — to przyjdzie potem, to musi w nas dojrzeć.

Na razie całe nastawienie jest: do końca nie zawieść i ani na chwilę nie stracić godności.

Na nic więcej zdobyć się w tej chwili nie możemy.

Jest już późna noc, gdy odszukuję pułk na Piusa XI.

Zarządzam odprawę oficerską w parterowym, opuszczonym mieszkaniu.

Obok tymczasem rozgrywa się tragedia. W podwórzu domu była studnia, zwykła, wąska, głęboka, cembrowana studnia, a na jej dnie trochę wody. Ktoś musiał zerwać jej nakrycie i konie, poczuwszy wodę, zaczęły się wokół niej tłoczyć i pchać spragnione pyski w czarny otwór. Jeden wleciał, jak do grobu. Nie widać go, jest tak głęboko, iż nawet smuga latarki go nie dosięga. Słychać tylko stękanie, głuche, potworne stękanie wiernego towarzysza broni... prawie ludzkie. Nie możemy mu nic pomóc. Ten koń kapitulować wobec Niemców nie będzie już w żadnym razie. Znalazł inne wyjście...

Schodzą się oficerowie. Gdzieś ktoś wytrzasnął świeczkę i przy jej słabym świetle — mówię. Jest mi ciężko na sercu, ale staram się mówić sucho i rzeczowo.

Podaję rozkazy kapitulacji i jej warunki, a potem wyjaśniam, że rozkaz pochodzi od naszego najwyższego tu przełożonego, gen. Rómmla, który doszedł do swej decyzji na pewno po wyczerpaniu wszystkich innych możliwości i rozkaz, choć tak bardzo ciężki, musi być do ostatka i uczciwie, po żołniersku, przez nas wykonany. Jest to naszym obowiązkiem.

Zresztą sami mogą ocenić, iż, choćby ze względu na ludność cywilną, dalsze kontynuowanie walki nie jest możliwe.

Oficerowie zawodowi pułku mają pić ten kielich goryczy do końca i dopóki wszyscy podoficerowie i ułani — jak brzmią warunki kapitulacji — nie zostaną zwolnieni, nie wolno im samowolnie opuszczać szeregów i kryć się w Warszawie w ubraniach cywilnych. Pozwalam jednak uczynić to oficerom rezerwy pułku, niechaj od razu meldują, kto chce z tego korzystać...

Zgłoszeń nie ma. Nikt pułku opuścić nie chce.

Wreszcie kończę odprawę zwykłym pytaniem: „Kto ma coś do zameldowania?".

Spojrzałem po twardych, zmęczonych twarzach. Długie milczenie zaległo. Wreszcie przerwał je rtm. Ksyk — 3 szwadron:

— Pan Pułkownik pozwoli zameldować...

Mały Ksyk wyciągnął się, jak tylko mógł, a obok niego kolejno stukali ostrogami jego młodsi oficerowie. Jeden, drugi, trzeci.

— Melduję — mówił Ksyk, — że ja i cały 3 szwadron — znowu stuk ostrogami — postanowiliśmy odmówić wykonania rozkazu kapitulacji. Jutro rano zaszarżujemy pozycje niemieckie, ażeby przeszło do tradycji pułkowej, że 9 pułk Ułanów Małopolskich nie poddaje się.

Skończył a mnie coś jakby chwyciło za gardło, takie to było ładne i wiedziałem, że prawdziwe, a nie żadna poza i tak bardzo pasowało do nas wszystkich i do naszego pułku. Mignęło mi w pamięci Podole nasze z Jazłowcem i ten niepoprawny romantyzm „ostatnich Mohikanów" z szablami pod tybinką.

Długo i innym już tonem tłumaczyłem bezsens takiego czynu. To dobre dla bankrutów małodusznych, ale nie dla nas. My walki nie zaprzestajemy, to jedynie mała przerwa w działaniach bojowych pułku i w jego istnieniu — po prostu zakończenie jednego okresu — drugi nadejdzie na pewno. Ale, tak naprawdę, przekonały ich dopiero słowa, gdzieś kiedyś przeze mnie zasłyszane, które im powtórzyłem:

— A kto nie umie przetrwać klęski, ten nie wart jest zwycięstwa.

To ich dopiero wzięło i ustąpili.

Równocześnie zaś, w miarę gdy mówiłem, czułem, jak coś się przede mną otwiera, paraliż myśli ustępuje i ujrzałem znowu wyjście spoza zatrzaśniętych drzwi proste i jasne i nie takie jak ów koń ze studni.

Przetrawiła się we mnie decyzja i dojrzałem wewnętrznie — Ksyk to sprawił.

* * *

Dnia 28 września przenieśliśmy się do koszar szwoleżerów, za Łazienki. Tam staje cała kawaleria i tam następują wszystkie czynności związane z zakończeniem zaległych spraw pułkowych, przed wymarszem pułku z Warszawy, a właściwie przed faktycznym rozwiązanie pułku.

Jeszcze Krzyże Walecznych, awanse podoficerów i najdzielniejszych ułanów, wreszcie wypłata żołdu i poborów aż do wyczerpania wszystkich pieniędzy z kasy pułkowej, a przede wszystkim pożegnanie sztandaru przez pułk i zabezpieczenie go. Sztandar nie może przecież iść do niewoli i musi być ukryty w największej tajemnicy.

Dnia 29 września po południu staje pułk po raz ostatni w całości, na zbiórkę.

Tegoż dnia wieczorem mają bowiem odejść z Warszawy wszyscy szeregowi pułku, których domy leżą na wschód od linii demarkacyjnej niemiecko-sowieckiej i którzy wobec tego wyrazili chęć tam się udać. Jest to około 1/3 stanu ułanów oraz większość podoficerów zawodowych. Powracają oni do Trembowli, do swych rodzin. Odprowadza ich mjr Tomaszewski, jako mój zastępca, aż do linii demarkacyjnej, gdzie Niemcy mają ich przekazać Sowietom.

Reszta pułku oraz wszyscy oficerowie i konie pozostają na razie w Warszawie, skąd odejdą zwartym oddziałem na zachód, prawdopodobnie 30 września.

Jest to więc ostatnia sposobność pożegnania całości.

Raport zdaje Tomaszewski. Wszyscy czują powagę chwili. Witam się z pułkiem i po raz ostatni przechodzę przed jego frontem. Adiutant odczytuje ostatni rozkaz pułkowy, potem przemawiam.

Oddaję hołd poległym towarzyszom broni, dziękuję żywym za wzorowe spełnienie swych obowiązków i mówię już zupełnie wyraźnie o konieczności kontynuowania walki i wskazuję na Francję, jako miejsce dokąd należy dążyć indywidualnie oraz wyrażam głęboką wiarę w rychłe odtworzenie pułku i ostateczne zwycięstwo.

Pożegnanie kończymy okrzykiem na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej oraz tym codziennym — „Czołem, ułani" i „Czołem, panie pułkowniku", które tym razem brzmią jakoś inaczej, aniżeli zwykle.

Jeden egzemplarz ostatniego rozkazu pułkowego bierze adiutant, rtm. Juszczak, idący na zachód, drugi chowa do cholewy buta chorąży Semeniuk, idący na wschód.

W ten sposób regulujemy ostatnie sprawy pułkowe, poczem zaraz biorę Kowalskiego i Sapiehę do łazika i jedziemy do miasta, ażeby znaleźć bezpieczne miejsce ukrycia i przechowania sztandaru.

Decyzja jest bardzo trudna, wreszcie wybór nasz pada na kościół św. Antoniego przy Senatorskiej. Jest to mały kościółek, który sam jeden ocalał obok rozwalonych i spalonych wokół domów, wydaje się on nam właściwym miejscem. Proboszcz, staruszek, początkowo przeraził się odpowiedzialności i wahał się, czy może przyjąć taki cenny depozyt, potem jął nas oprowadzać po kościele i wokół niego, dreptając, opowiadał nam o cudownym ocaleniu kościoła.

— Widzicie tu — mówił — ten lej od bomby, tuż przy kościele, a kościół cały. Patrzcie wokół — wszystko spalone, nawet pałac Zamoyskich, o który kościół się opiera — a u nas nic. Albo patrzcie na ten nadpalony róg dachu, który zajął się od pałacu, tuż nad figurą św. Antoniego, ratować nie miał kto, to św. Antoni sam pożar zagasił. Chwilkę się paliło i samo zgasło — cudownie...

Potem widocznie zdecydował się, gdyż wziął nas przed ołtarz, kazał poklękać, sam założył stułę i kazał wyjąć sztandar z pokrowca a każdemu z nas wetknął świecę w rękę, zapalił ją, potem modlił się nad nami ze swego mszału, wreszcie uścikał nas i sztandar zabrał.

Trochę byliśmy zdziwieni i zażenowani tą niecodzienną ceremonią i poczuliśmy się trochę jak nie na tym świecie, ale nie protestowaliśmy — widocznie taki przepis.

Przy nas jeszcze złożył sztandar w zakrystii pomiędzy szaty kościelne, mówiąc:

— Nawet wikaremu o tym nie powiem, nie trzeba, mógłby jeszcze wygadać, bądźcie spokojni, odbierzecie go — da Bóg — sami.

Pożegnaliśmy staruszka i do pułku. Sapieha został jeszcze w mieście, by zabrać parę ubrań cywilnych swego ojca i umieścić je u rodziców naszego porucznika Neumana — na wszelki wypadek — mogą nam się przydać, gdy będziemy wiać z niewoli niemieckiej. Ministra Eustachego Sapiehy nie ma w Warszawie i jestem spokojny, że szafy jego będą opróżnione solidnie „ku chwale Ojczyzny".

W pułku nastroje dobre, właśnie przynieśli wina z piwnicy Prezydenta na Zamku. Stare, omszałe butelki. Znacznie lepiej, ażebyśmy je wypili, aniżeli Niemcy. Dobre to, tylko okropna mieszanina. Po 100-letnim tokaju, omszały burgund, potem madera, którą prawie krająć można i znowu tokaj...

* * *

Punkt wyjścia dla całej Grupy Kawalerii został wyznaczony na godzinę 1 w nocy z 30 września na 1 października — skrzyżowanie Książęcej z Nowym Światem.

Ruszamy końmi — koni starczy nam teraz dla wszystkich. Jedną kuchnię polową i kilka wozów taborowych mamy z sobą. Pasy na płaszczach, szable przy boku, wyglądamy nieźle, niech nas widzą... Niemcy do ostatka w porządku...

Biały już dzień był, gdyśmy minęli Wolę i wyciągnęliśmy się całą brygadą szosą na Pruszków. Za Wolą czekali na nas już motocykliści niemieccy oraz samochody pancerne, które prowadziły nas dalej, na pole pod Pruszkowem, gdzie stanęliśmy biwakiem, dołączając do tysięcy już tam zgromadzonych żołnierzy z oddziałów warszawskich.

Czołgi niemieckie otoczyły pole, na którym staliśmy — byliśmy w niewoli, nasz pierwszy dzień niewoli pułkowej, a była to dziwnym zrządzeniem losu — znowu niedziela.

Gen. Klemens Rudnicki

*) Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

STOPY KRÓLOWEJ BRONI

FRAGMENT OPOWIADANIA

— Zaczęło się... — pomyślałem, cały rozdygotany wewnętrznie od emocji — i bez kurtki, tylko w spodniach i koszuli, przesadzając pniaki, krzaczki i doły, rzuciłem się do rkm-u, który tkwił na stanowisku w pewnej odległości od miejsca, gdzie snuliśmy wokół naszego gniazda oporu pajęczynę kolczastego drutu.

Przed ułamkiem sekundy ostry, bliski wybuch wtargnął w spokój rozsłonecznienia właśnie na kierunku drogi bronionej moim rkmem. Inni żołnierze również jak kangury rwali w potężnych susach do swojej broni. Byle dopaść dołu strzeleckiego, zanim pryśnie seria nieprzyjacielskich pocisków.

Ale nieprzyjaciel nie otworzył ognia, tylko jakieś głośne krzyki kotłowały się w lesie. Ten kierunek zawsze mi się nie podobał — sągwie drzew ciągnące się jak mury po obu stronach drogi tworzyły wąski korytarz i rkm był chwilowo bezradny na to, co się dziać mogło za sągwiami, w lesie.

— Uważaj na mój znak!... — krzyknąłem do celowniczego i ściskając kurczowo odbezpieczony karabin, z duszą i płucami w gardle, zacząłem przedzierać się między najeżoną choinowymi rózgami ścianą lasu i barykadą, ułożoną ze świeżych klocków, lepiących się żywicą, upalnie pachnących aż do zawrotu głowy.

Wyraźne już polskie przekleństwa, pół gniewne, pół żartobliwe, rozładowały napiętą chwilę. Na drodze ukazał się oddziałek Obrony Narodowej. Karabiny starego typu i lekkie drelichy, zamiast naszych sukiennych mundurów, zmyliły żołnierza na czujce. Podenerwowany i niedospany chłopak zdrzemnął się na sekundę, a potem nagle ujrzał przed sobą obce uzbrojone postacie. Cisnął w nie granatem wywołując cały ten alarm i uciekł okrężną drogą do naszych stanowisk. Granat padł pod nogi zaskoczonym przybyszom, lecz na szczęście stoczył się do rowka i tam wybuchł nieszkodliwie. Tylko „łyżka“ drasnęła lekko czoło jednego z żołnierzy.

Pomyłka rychło poszła w niepamięć, bo obie strony cieszyły się ze spotkania. Nareszcie nie jesteśmy sami! Żołnierze Obrony Narodowej nie mieli dla nas żadnych rozkazów z dowództwa, wiedzieli jednak o wiele więcej od nas, co się na świecie dzieje. Ich przewodnik, młody, dziarski leśniczy, uzbrojony w dubeltówkę, żywo opowiadał o granicznych starciach z patrolami słowackimi. Obie strony otwierały ogień, ale ponad głowami, a Polacy puszczali wolno Słowaków wziętych do niewoli. Podobno były jakieś tajne rozkazy, aby w ten sposób traktować żołnierzy bratniego narodu, działającego pod niemieckim przymusem. Ogólna sytuacja według tych opowiadań miała być całkiem dobra i nawet radio podawało wiadomości o jakichś pierwszych polskich powodzeniach na froncie.

Pluton Obrony Narodowej rozłożył się czatą na sąsiedniej górze. Pierwsze samoloty — byliśmy przekonani ,że polskie — zaczęły się pokazywać nad naszą samotnią. Nieustanne bulgotanie oddalonych wybuchów artyleryjskich przesuwało się powoli po widnokręgu, a my już drugi dzień tkwiliśmy jak w niebycie w zacisznym środku tego rozkręcającego się skrzydła huraganu.

Ppor. Długosz już nie mógł biernie czekać na jakikolwiek chociażby znak wypełniania się próżni na naszym zapleczu, wysłał więc kaprala, dowódcę cekaemiarzy, do pułku w Nowym Sączu po zapasową lufę do ckm-u, a przede wszystkim dla zasięgnięcia języka i przypomnienia, że istniejemy.

Cały następny dzień spędziłem na patrolowaniu przedpola. Karabiny gotowe do strzału, granaty pod ręką, ale nadpopradzkie wioski tchnęły spokojem. W Szczawniku sołtys ugościł nas jajecznicą i mlekiem — i na życzenie dowódcy patrolu wyznaczył dwóch krzepkich parobków do dźwigania na naszą górę wiadra z orzeźwiającą, mineralną wodą, która wypełniała studnię w środku wsi.

Wędrówka kamienistymi ścieżkami i tropami odnowiła mi odparzenia na niedoleczonych stopach. Kuśtykając pokonywałem z trudem każdy metr powrotnego wspinania się i marzyłem o legowisku z choinowych gałęzi na dnie mego dołka strzeleckiego.

Zbyt jednak wygórowane były moje pragnienia. Nareszcie ciemności nocne zgęściły się upragnioną kępą drzew na naszych stanowiskach. Zdawało się, że ogarnął je zwykły sen pod ochroną czujek i podsłuchów, ale żołnierz na czujce rozpoznawszy nasze sylwetki, zamiast dla pewności zażądać hasła, zawołał z pośpiechem i ulgą:

— Nareszcie jesteście!... Pluton już gotowy do wymarszu, czekamy tylko na was...

Na pozycjach ruch, wzburzone szepty i krótkie błyski latarek elektrycznych.

— Co się stało?

— W naszych koszarach w Nowym Sączu są już Niemcy!

— Cooo?...

— Tak, N i e m c y !

Kapral, który pojechał po zapasową lufę do ckm-u, ledwo nie trafił do niewoli. Wrócił jak najprędzej, oszołomiony tym odkryciem. Był jednak na tyle przytomny, że po drodze zagarnął z rozbitych składów wielki wór papierosów i przytaszczył go dla plutonu. Tegoż wieczora, jakby dla potwierdzenia fantastycznego meldunku kaprala dotarł do nas od dawna wyczekiwany goniec, przynosząc rozkaz natychmiastowego wycofania się górami na wschód i dołączenia do głównych oddziałów maszerujących na Gorlice.

— Jak to? Tyle pracy włożyliśmy w te stanowiska, a teraz rzucać je bez jednego wystrzału? — bezsilnie buntowali się żołnierze.

Trudno było pogodzić się z myślą, że kiedy tak spokojnie opalaliśmy się na słońcu, dziwiąc się ciszy panującej nad granicą słowacką, całe nasze wojskowe zaplecze, po którym tyle spodziewaliśmy się, zawaliło się jak od trzęsienia ziemi. Niemcy w naszych koszarach...

— Nie możemy pozostawić amunicji — odezwał się dowódca plutonu, wprowadzając ton rzeczowości. — Niech każdy zabierze tyle magazynków, ile tylko uniesie.

Amunicja okazała się cięższa od otrzymanej wiadomości i po chwili wszystko już zeszło na drugi plan, co nie było uciążliwym marszem w ciemnościach, górską ścieżką, na której człowiek co krok potykał się lub otrzymywał smagnięcie sprężystą rózgą, sterczącą gałęzią napiętą przez poprzednika. Ciężar całego oporządzenia, broni i dodatkowej amunicji dławił ku ziemi obolałe ciało, pot lał się ciurkiem, oddech heblował piersi.

Nie było końca tej drogi. Nareszcie jednak zaczęliśmy schodzić na dno doliny i wynurzyliśmy się z czerni gęstego lasu na księżycową jasność hali, której pustkę wypełniał samotny szałas srebrzący się po środku.

Kiedy otwarta przestrzeń uwidoczniła większość żołnierzy, nagły piorun z karabinu maszynowego z bliska przerąbał ciszę i uderzył w ledwo wlokące się nogi, które poderwały się i runęły pędem. Rwaliśmy przed siebie ciężko dudniąc po łące, jak stado spłoszonych słoni.

Raptem zatrzymał mnie wstyd — miałem przecież rkm!... Padłem na ziemię i wyrzuciłem przed siebie karabin maszynowy, w kierunku skąd padła seria. Inni żołnierze już także opamiętali się i zaczęli przystawać. Słychać było tylko nasz świszczący oddech.

Maruderzy, którzy schodzili jeszcze z zalesionego zbocza, wyjaśnili niebawem przyczynę zagadkowego ognia. Po prostu jeden z naszych żołnierzy zawadził o gałąź spustem niezabezpieczonego rkm-u.

Pocieszałem się, że jeden z pierwszych ochłonąłem z nagłego wrażenia i przerwałem ucieczkę. Na szczęście nikt nie zauważył, że w gorączce działania chciałem strzelać z broni, którą zapomniałem naładować... Niechętnie potem wspominaliśmy o całym tym wydarzeniu.

Po zejściu z gór skończyła się nasza samotna wędrówka. Wszystkimi drogami podążały oddziałki wojska, doganiające podobnie jak my swoje bataliony i pułki. Ciągnęły również nieprzerwanie niedołężne kolumny wozów taborowych, wiozących dobra wojskowe wszelakiego rodzaju.

Lecz na nogi piechura nie było rady. Podczas marszu ból wzrastał do kulminacyjnego punktu i utrzymywał się na nim, pozwalając oswoić się z tą udręką. Płyn spływający z odparzeń rozmiękczał onuce i obuwie, zmniejszając tarcie tym naturalnym smarowaniem i łagodząc nieco cierpienia. Najgorsze były pierwsze kroki po dłuższym postoju, kiedy wszystko to zasychało, a potem kruszyło się i cięło, jakby średniowieczny oprawca torturował swoją ofiarę wcieraniem rozbitego szkła w otwarte rany. Marsz na tak spreparowanych stopach wymaga ogromnego wysiłku i trzeba trzymać siebie mocno w garści, aby rozpacz nie zakradła się do serca.

W podobnym stanie znajdowała się większość żołnierzy plutonu, który prawie nie śpiąc i nie jedząc wybijał bolesny rytm na podkarpackich drogach. Chociaż pozbyliśmy się znacznej części oporządzenia, jeszcze każdy z nas dźwigał na sobie wielki ciężar wszelkiego bojowego żelastwa, które ocierając przy każdym ruchu rozpalone i mokre ciało, pokrywało je dokuczliwymi odparzeniami. Szczególnie ranił pas główny — obwieszony ciężarami. Rozpinaliśmy go zupełnie, pozwalając dyndać swobodnie na szelkach ładownic. Taki był początek naszego odwrotu.

W Gorlicach zastaliśmy ewakuacyjną pustkę i przygnębienie. Miasto pamiętało ciężkie boje z czasów wielkiej wojny, tutaj bowiem nastąpiło sławne przełamanie ofensywy rosyjskiej przez Austrię, nawiasem mówiąc dzięki gen. Rozwadowskiemu, wówczas w służbie austro-węgierskiej, który pierwszy zastosował skuteczną taktykę natarcia piechoty pod ruchomym ogniem własnej artylerii. Teraz nie było sposobu powstrzymania ofensywy...

Dalszy marsz odbywał się w towarzystwie niemieckich samolotów. Najpierw kryliśmy się pod drzewami i w rowach przy każdym zbliżającym się warkocie, potem jednak, ośmieleni brakiem zaczepnej działalności z ich strony, nie przerywaliśmy marszu, a samoloty płynęły jak wielkie ryby nad naszymi głowami i tak one górą, a my dołem waliliśmy na wschód, jakbyśmy należeli do tej samej zbrojnej ławicy.

Nasze, polskie samoloty ujrzeliśmy tylko raz — rząd spalonych szkieletów, ustawiony na łące podjasielskiego lotniska...

Za Gorlicami dogoniliśmy nareszcie nasz batalion.

Im więcej kilometrów ścierało nam stopy, tym większa ogarniała złość i — rozczarowanie. Porwała nas fala odwrotu i niosła bez końca, byliśmy jednak przekonani, że Niemcy przełamali tylko front południowy. Cywilna ludność od czasu do czasu podrzucała nam wędrujące z ust do ust pół-wiadomości pół-plotki, których pocieszająca treść potrzebna była wszystkim do życia.

Średniowieczne mury Biecza, zwanego „małym Krakowem“, ukazały się przed nami jak zjawa. Śladami dawnych rycerzy wkroczyliśmy w wąskie uliczki. „Lejbuś“, wysoki, zawsze pogodny żyd z naszego plutonu, zakrzyknął coś do dziewczyny o dużych, ciemnych oczach, która stała z tłumem ludności bezradnie przyglądającej się smutnemu pochodowi wojska. Młoda Żydówka znikła i za chwilę zjawiła się przy nas z koszem ogromnych, najwspanialszych gruszek. Podała mi również jedną. Z wdzięcznością schwyciłem w obie ręce wielki owoc, soczysty jak gąbka wyjęta z wody. Sok spływał między brudnymi palcami — śpieszyłem się, aby cały owoc nie przeciekł i nie zniknął na podobieństwo skarbów chwytanych we śnie. Zeschnięte wargi zanurzyły się w słodki, wonny miąższ i paru haustami wypiłem tę niezapomnianą gruszkę.

Czarodziejski owoc... wschodnie, pełne wymowy oczy dziewczyny... ciężko dyszące, zakurzone kolumny piechoty... mury Biecza w aureoli słonecznej, jasne jak skała... — wszystko to przejmowało znużoną wyobraźnię uczuciem smutku a równocześnie nadziei, jakby popod łoskot i chaos rzeczywistości podeszła cicha lecz potężna fala odwiecznego niezniszczalnego życia tej ziemi.

Nabita wojskami szosa posuwała się jak strumień gęstej lawy, nabrzmiewając od czasu do czasu w bezruch natłoku ludzi, koni, dział, biedek i wozów. W ciemnościach nocnych szumiało to i kotłowało się, ruch częściej zacinał się i zamierał lub zrywał się i rozpędzał. Przeważnie prąd walił całą szerokością drogi, nieraz jednak jakiś szybszy nurt odrywał się i parł naprzód roztrącając wszystko żywym, drgającym cielskiem, utworzonym z ramion, kolb, tupotu, skrzypienia, pobrzękiwania, oddechów, przytłumionych komend i przekleństw.

Nie zawsze można było zaraz po zatrzymaniu się opaść na jezdnię i zasnąć, obojętnie na jak długo, na pół godziny, kwadrans lub parę minut. Nieraz wywlekano nas z ogólnego pochodu i rzucano w bok, z bagnetem na broni, aby przepłoszyć dywersantów, starających się różnymi sposobami wywołać panikę. Znowu gdzieś z bliska ciemność wypluła parę strzałów. Zaczęliśmy się przedzierać opłotkami wsi na beznadziejny nocny połów. Z tyłu za nami spiętrzyły się tabory.

W bezlitosnym natomiast skwarze dnia rozkruszała się i topniała piechota. To ten ,to tamten staczał się jak pijany do rowu i leżał w stanie odrętwienia, z zamkniętymi oczami, oddychając z trudem. Nie było na to rady. Oficerowie rozkazywali, namawiali, grozili. Jeden z nich wyjął nawet pistolet.

— Proszę strzelać... Mnie wszystko jedno... Już nie mogę...— padła odpowiedź żołnierza.

Oficer schował broń i bez słowa powlókł się dalej.

Coraz więcej ofiar marszu, z przeróżnych broni i służb, wypełniało rowy lub podążało gęsiego ścieżkami, wydeptanymi na krawędzi pól, po obu stronach drogi. Prawie każdy z tych żołnierzy kuśtykał w groteskowych podrygach na odparzonych stopach, niektórzy nieśli buty drepcąc boso powolnym truchcikiem, a na każdej ostrości ścieżki nogi załamywały im się w kolanach, jak w gimnastycznym marszu z przysiadami.

Odwrót, kurz, męka, bunt w sercu. Czy naprawdę musimy tak ciągle wyrywać, jeszcze na oczy nie zobaczywszy Niemca? Gdzie jest kres odwrotu? Czy mamy sami siebie zetrzeć na miazgę na tych przeklętych drogach, zanim dojdzie do walki?

Zagłębiliśmy się w beztroską zieleń liściastego lasu. Za nim otworzyła się obszerna dolina ze wsią luźnie rozsypaną na dnie. Dochodziliśmy do pierwszych zagród, kiedy gdzieś przed nami, za zielonym zbożem, zasłaniającym dalszy ciąg doliny, oddziały straży przedniej nawiązały walkę z Niemcami, dając o tym znać krzykliwą rozmową broni maszynowej i chaotyczną palbą karabinów. Ruch na drodze ustał w oczekiwaniu co z tego wyniknie. Naszą kompanię wysłano na horyzont, na krawędź lewego zbocza, aby ubezpieczyć od tego kierunku. Wkrótce wystrzały ucichły i wycofano nas z powrotem na dno doliny. Wojsko rozproszone, pochowane pod drzewami i wśród zabudowań , zaczęło wychodzić z ukrycia i powoli zbierać się do dalszego marszu.

Wojna zgasiła w Jaśle latarnie i okna, domy były jak wymarłe. Brnęliśmy przez ponurą pustkę, która wypełzała z przepaści ulic uginających się pod ciśnieniem oddalonych wybuchów. Tylko na torach kolejowych to tu to tam pokazywał się krótki błysk ręcznych latarek — ostatnie iskierki życia. Nagle w glorii roziskrzonego dymu przehuczała przed nami samotna lokomotywa, uchodząc pośpiesznie na wschód. Podniesiony szlaban puścił nas przez tory, zgasłe już w zupełnej ciemności, głuche i ostygłe.

(Dokończenie na str. 4)

PO ŁEPKACH

WARSZAWA I PIŁAWCE

Gdyby kilkuletniego chłopca przyprowadzono do plastycznej mapy Polski z zakreślonymi granicami, gdyby mu przy tym dano duże pudło ołowianych żołnierzyków, armat i czołgów i gdyby mu polecono zabawić się w obronę mapy, z pewnością zadałby jedno pytanie i niemal napewno wykonałby jedno rozwiązanie. Pytanie brzmiałoby: „A gdzie są samoloty?“ (Nawet gdyby chłopczykowi kazano się bawić w wojnę przed wrześniem roku 1939.). Rozwiązanie zaś obrony byłoby zapewne nie inne, jak poustawianie wokół wszystkich granic pojedyńczym rządkiem celującym do wroga żołnierzyków i tuż za nimi armat. Czołgi by zapewne dziecięcy wódz porozwłóczył także po wszystkich granicach wedle zasady proporcjonalnej, powiedzmy jeden czołg co dziesięciu żołnierzy.

Niewiele od tej dziecinnej zabawy różnił się plan obrony Polski w roku 1939, przygotowany przez zawodowych strategów. Wertując pierwszy tom „Kampanii wrześniowej“, wydany przez Komisję Historyczną Sztabu Głównego PSZ w Londynie, możnaby odnieść coprawda zupełnie odmienne wrażenie. Plany obronne, plany operacyjne, koncentracje, dyslokacje, a zwłaszcza wypieszczone taktycznie plany działań poszczególnych armij są tak logiczne i tak doskonałe, że gdyby je zastosowano nie tylko na papierze, ale i w polu, kto wie, jaki byłby los kampanii. Niestety z całego worka teoretycznych planów wychodzi szydło szkicu p. t. „Położenie w chwili wybuchu wojny“. Na tej to mapce rządkiem sobie stoją wokół granicy armie, dywizje, brygady i bataliony, rozczłonkowane nieprawdopodobnie, a kółka oznaczające odwody Naczelnego Wodza wypełnione są powietrzem, dobrymi chęciami i strategiczną fantazją.

Jest oczywiste, że sztab polski nie miał, a przynajmniej nie ukończył nigdy „zachodniego planu“ obrony kraju. Gdyby nawet przyjąć, w wielkiej dobroduszności, że ostatecznie mogło się tak stać, nie do wiary jednakże jest fakt, aby można było rozwinąć do walki armie w sposób urągający nawet cywilnemu rozsądkowi. Przeciwko strategii nieprzyjaciela rzucono po prostu szczęście i przypadek.

Wrzesień należy już do historii Polski. Polska, to dziesięć wieków prac i walk, wzlotów i upadków, budowań i burzeń, cnót i grzechów, zwycięstw i klęsk, spośród których nie da się wymazać miesiąca września 1939. Polska już zawsze będzie związana z klęską wrześniową. Jest to klęska armii i największa w dziejach tragedia narodu, względnie tragedii tej akt wstępny. Wrzesień jest organiczną częścią bytu i losu narodu polskiego, nie może zatem być problemem li-tylko wojskowym. Jest to sprawa wszystkich Polaków. Sąd o wrześniu należy do narodu, nie tylko do sztabów. Księgi sztabowe są jedynie raportami dla narodu, świadectwami, przygotowanymi dla trybunału narodowej historii, rachunkiem z gospodarzenia krwią. Zbyt wielką cenę zapłacił naród we wrześniu i za wrzesień, aby sobie mógł pozwolić na zacieranie prawdy o tym wielkim i krwawym doświadczeniu.

Usiłowania naszych sztabowców (nie wszystkich oczywiście) idą w kierunku wykazania, że obrona polska w roku 1939 posiadała koncepcję, że przez 16 dni sztaby, łącznie z Wodzem Naczelnym, pracowały normalnie, że wręcz kampania wrześniowa nie była hańbiącą klęską lecz pięknie przegraną bitwą, kto wie, czy nawet nie wzorową. Usiłuje się po latach konstruować „myśli przewodnie“ działań i zbiera się dowody, wykazujące, że tylko drobne nieraz wypadki i przypadki decydowały o przegranych bitwach. Narastają legendy, mające wybielić dowódców. Powstała już spora literatura piękna i pamiętnikarska, rozciągająca aureolę nad wrześniem.

Zabiegi te i legendy są nawskroś szkodliwe. Błędy i to tak ciężkie nie mogą przenigdy stać się wzorami. Nie ma niczego do naśladowania z września 1939 roku. Może to być conajwyżej studium błędów. Bezprzykładne bohaterstwo niektórych oddziałów i tysięcy żołnierzy, heroiczna, równa legendom Termopil i Samosierry, obrona Westerplatte Wybrzeża, Wyszkowa i dziesiątka innych miast, twarde i zwycięskie boje 10 brygady kawalerii, szarże kawalerii gen. Andersa, nocne szturmy piechoty pod Warszawą, epopeja obrony Polesia przez gen. Kleeberga, czy obrona Lwowa są światłami polskiej odwagi i waleczności, które zajaśniały wśród powszechnej klęski. Były to jasne plamy wśród ciemnej nocy.. Takimi aktami heroizmu można się krzepić w niewoli lecz nie mogą one być świecznikami dla wolnego i niepodległego narodu. Nie na to Polska żyła przez lat 20, budowała się i zbroiła aby się zdobyć tylko na Westerplatte, Hel, czy nawet Kutno i Warszawę. Wszystko to były bowiem nie zwycięstwa, lecz klęski, nie operacje lecz akty desperacji.

Nie w tym rzecz, że Polska prawdopodobnie by wojnę z Niemcami i tak przegrała, choć nie należy tego uważać za pewnik. Gdyby bowiem armia nasza zdobyła się na skuteczną obronę, możliwe, że to zachęciłoby zachodnich sprzymierzeńców do ofensywy na nieobsadzoną wówczas linię Zygfryda. Nie w tym rzecz, że wojny sami nie wygralibyśmy. Rzecz w tym, że taką wiarę i pewność siebie wszczepiano w naród, że przedwrześniowe rządy prowadziły politykę taką, jakby Polska mogła sama sprostać nadchodzącym zdarzeniom, „silna, zwarta i gotowa“. Sztaby zaś, złożone z wielkiej ilości ludzi bez talentu, wyobraźni i charakteru, w pysze swej liczyły nie na siły, lecz na zamiary. Deklamacje o „guzikach od koszuli“ wcale nie były pogróżką dla wrogów, lecz były najwyraźniejszym przejawem pychy. Straszliwe skutki tych błędów poniósł naród. We wrześniu załamała się polska godność narodowa, którą Polsce przywróciła wcale nie klęska Francji, lecz dopiero Armia Krajowa i Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie.

Pierwsza nauka, jaką naród powinien wyciągnąć z kampanii wrześniowej, jest ta, że korpus dowódczy, a szczególnie sztaby polskie były nieudolne i złe (z nielicznymi wyjątkami). Ci ludzie, którzy przegrali wrzesień powinni albo sobie raz na zawsze odejść albo się wziąć do rzetelnej nauki, tym razem bez wiary w osobisty geniusz.

W Polsce przedwrześniowej panował zgubny mit wojska. Naczelny Wódz i wielu oficerów wyższych poczuli taki ogrom patriotycznego natchnienia, że zamiast myśleć o planach obrony kraju i zbrojeniu armii, wyżywali się w bizantyńskich rządach i formach władzy. Gen. Sławoj Składkowski w ogłoszonych w „Kulturze“ wspomnieniach cynicznie wyznaje, że główną troską rządów pomajowych było „zaprowadzenie w Polsce porządku, ładu i bezpieczeństwa“ jakby wróg był wewnątrz kraju, a nie za jego granicami. Po latach gen. Sławoj wyznaje: „Budżet wojskowy Polski nie mógł sprostać wymaganiom, stawianym przez obłąkany wyścig zbrojeń Niemiec i Rosji, gdy całkowity budżet naszego Państwa wynosił zaledwie część budżetu Wielkiego Berlina.“ (Felicjan Sławoj Składkowski: „Pamiętnik niebohaterski“, KULTURA nr 7/8 (45/46). Co się jednak mówiło narodowi przed wrześniem? Był to już nie optymizm, ale pospolite przechwałki, wpajane bezlitośnie w społeczeństwo.

Wielkich cnót uczono i wymagano w wojsku. „Nie ma odwrotu w obronie“ — oto było hasło wychowawcze w armii polskiej do roku 1939. Wielu żołnierzy pojęło je dosłownie w kampanii wrześniowej, z wyjątkiem dowódców znacznej części wielkich jednostek, którzy wynieśli bezpiecznie swe głowy z katastrofy. Wielkie klęski łączyły się zwykle w historii Polski ze śmiercią wodzów na polu chwały. Wojska ponosiły klęski, lecz naród zyskiwał skarby tradycji i wzory umiłowania kraju. Po wrześniu nie pozostały Polsce nawet żołnierskie zgony dowódców. Honor ten przejęli na siebie cywile, poczynając od Stefana Starzyńskiego. Większość dowódców naszej armii przedwrześniowej nie posiadała nie tylko przesadnie wielu cnót cywilnych, ale i zbytniej obfitości cnót wojskowych. W dwudziestoleciu niepodległości wychowywano naród w żarliwym micie wojska, a wojsko to nie tylko nie okazało się najlepszą częścią narodu, ale nawet nie okazało dostatecznie swych cnót wojskowych.

Trzeba to bowiem głośno powiedzieć, że ulegliśmy Niemcom nie tylko z powodu ich militarnej przewagi. Upadliśmy także skutkiem własnych błędów.

Wiele ujawniło się wartości we wrześniu, ale przeważa tę szalę z łatwością ciężar naszych błędów i grzechów. Armia nasza miała nie tylko złe dowodzenie, ale jako całość okazała się nieprzygotowaną do wojny. Wrzesień, to nie przegrana wojna. To zawstydzająca klęska. To obok bohaterstwa — łańcuch Piławiec. Znaczna część oddziałów w ustawicznym odwrocie nie oddała strzału do nieprzyjaciela . Wrzesień, to gehenna odwrotu, orgia zamętu, paniki, bezsilności, słabości i rozpaczy. Klęskę z Niemcami poniosła armia polska nie tylko na frontowych polach bitew, ale również na dalekich drogach odwrotu, na najbezpieczniejszych tyłach. Na zapleczu frontu nie działo się absolutnie nic, co by można nazwać gotowością do walki. Klęska zawisła w powietrzu już po pierwszych dniach września nad całą Polską. Przegraliśmy wojnę totalnie — za wyjątkiem jedynie ducha.

Nie posiadaliśmy planu obrony ani planu odwrotu, nie mieliśmy zorganizowanych odwodów, osłony komunikacji, zaopatrzenia. Wzorem wojny był dla nas rok 1920. Grzechem zaś najśmiertelniejszym była wiara w wodza. Wódz ten natomiast wierzył w cuda, skoro mógł brać poważnie „przedmoście rumuńskie“ a nawet... dowodzenie z terenu Rumunii. Wodzowie przegrywając wojnę, grzebią zazwyczaj armie i narody. Polsce potrzebne było wojsko, a nie wódz.

Naród polski — mimo potwornej katastrofy — okazał się we wrześniu niezmiernie twardy, mądry i wielki. Przede wszystkim nie stracił nadziei. Jeszcze nie ostygły pola bitew, a już podjął walkę na nowo, innymi sposobami. W czasie kampanii żołnierz polski wykazał zdumiewającą siłę i wolę walki w małych zespołach. Kampania wrześniowa była pogromem armij i triumfem batalionów oraz kompanij. Zwarta, mocno trzymana żołnierską ręką płk. Maczka, 10 brygada kawalerii przeprowadziła szereg zwycięskich akcji. Gdyby wszystkie kompanie broniły się tak, jak Westerplatte, wojna polsko-niemiecka musiałaby trwać kilka lat.

Kampania wrześniowa pozwoliła odkryć prawdziwe talenty dowódców (ci właśnie byli spychani na podrzędniejsze stanowiska), którzy w najgorszym położeniu zwyciężali lub też walczyli skutecznie. Należał do nich m. in. gen. Władysław Anders. Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie oraz Armię Krajową odbudowali ci najlepsi żołnierze. Dzięki tym dowódcom i tym formacjom Polska ocaliła swój honor narodowy i wojskowy.

Kiedy nad Polską zaświeci jutrzenka wolności, która być może zaczerwieni się znowu od krwi polskiej, wrzesień powinien się stać dla narodu miarą klęski, a nie wzorem walki.

Jan Bielatowicz

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Kanonizacja błog. Piusa X. W Italii mówi się o czterech cudownych uzdrowieniach za przyczyną niedawno beatyfikowanego Piusa X. Do kanonizacji Błogosławionego potrzeba stwierdzenia przez św. Kongregację Obrzędów dwóch nowych cudów t. zn. zdziałanych przez Pana Boga za przyczyną Błogosławionego już po jego beatyfikacji. Oczywiście stwierdzenie cudów następuje po dokładnym ich zbadaniu, co wymaga nieraz dłuższego czasu.

Królowa Jadwiga. W dniu 17 lipca, w 552 rocznicę śmierci Służebnicy Bożej królowej Jadwigi, ks. arcybiskup Eugeniusz Baziak odprawił Mszę św. przed cudownym krucyfiksem w katedrze na Wawelu na intencję rychłej beatyfikacji; wieczorne nabożeństwo odprawił ks. biskup Stanisław Rospond. Uroczystość poprzedziła nowenna.

W Paryżu powstał komitet francusko-polski, którego celem jest szerzenie wiedzy o osobie i czynach królowej Jadwigi i ożywienie ruchu modlitewnego o jej beatyfikację. Członkami honorowymi są m. in. arcybiskup Paryża Feltin biskup Gawlina, Paweł Chandel, prof. Oskar Halecki, gen. Weygand. Sekretarzem Komitetu jest Wanda Ładzina, autorka książki o królowej Jadwidze.

Starsza siostra św. Teresy od Dzieciątka Jezus, matka Agnieszka od Jezusa, zmarła w wieku lat 89. Była zakonnicą w Karmelu w Lisieux od 1882 r. Do tegoż Karmelu wstąpiła w 1886 r. druga siostra, Maria, która przybrała sobie imię Marii od Najśw. Serca, w 1888 r. późniejsza św. Teresa, a w kilka lat potem jeszcze jedna siostra, Celina, zakonnego imienia Genowefa, która żyje dotychczas. W ten sposób przez jakiś czas cztery siostry żyły w tym samym klasztorze. Piąta z sióstr, Leonia, wstąpiła do wizytek w Caen. (Czworo dzieci państwa Martin umarło w dzieciństwie).

Nowe oratorium. Lode Van Desseka skomponował oratorium obrazujące Wniebowzięcie N. Marii Panny. Zostało ono odśpiewane na scenie Grand Circus Park w Detroit przez chór 300 osób z Palestrina Institute of Ecclesiastical Music.

Kościół katolicki w Australii liczy ponad 1.400.000 osób na 8 milionów ogółu mieszkańców. Podziwiać należy ofiarność katolików australijskich, którzy muszą łożyć na utrzymanie duchowieństwa, szkół, szpitali, przytułków itd. Przeciętnie licząc, 6.000 katolików australijskich utrzymuje co najmniej 11 księży. co najmniej 4 parafie, co najmniej 2 szkoły powszechne i 1 szkołę średnią. Jeden ksiądz przypada na 548 wiernych. Szkół powszechnych katolickich jest 1.278, średnich 506. Szkoły te kształcą przeszło 200.000 uczniów i uczenic. Jeśli chcemy uprzytomnić sobie jeszcze lepiej ofiarność katolików australijskich, to zauważmy, że polscy katolicy w Australii, w wypadku takiej samej ofiarności, utrzymywaliby co najmniej 74 księży, prawie 28 parafii, 14 szkół powszechnych i 7 szkół średnich.

Papieskie podziękowanie dla prof. Haleckiego. Za pośrednictwem delegata apostolskiego w Stanach Zjednoczonych, arcybiskupa Amleto Giovanni Cicognani, prof. Oskar Halecki otrzymał z Watykanu list msgra Montini w języku łacińskim z błogosławieństwem i podziękowaniem Ojca św. Piusa XII za jego książkę p.t. „Eugenio Pacelli Pope of Peace", którą Papież nazywa „praeclarum testimonium" — „przepięknie jasnym świadectwem" o papieskich wysiłkach pokojowych.

W liście tym Ojciec św. wyraża życzenie, aby jak najliczniejsi czytelnicy dowiedzieli się z tej książki całej prawdy o pokojowej działalności Papieża i współpracy w tej dziedzinie ze Stolicą Apostolską. Polskie wydanie drukuje się obecnie w Londynie w drukarni Veritasu staraniem ks. biskupa Józefa Gawliny, ordynariusza uchodźców polskich za granicą oraz promotora polskiej nauki i sztuki na wygnaniu.

STOPY KRÓLOWEJ BRONI

(Dokończenie ze str. 3)

Na przeciwległym krańcu miasta, u wylotów ulic, urywających się przy bujnych krzewach jak krawędź przystani przy falach morza, zaległiśmy pokotem na jezdni i chodnikach, nie zdejmując oporządzenia, w bezgranicznym pożądaniu snu, u nóg równie zmordowanych koni, zaprzężonych do biedek i wozów taborowych.

Już tylko resztka świadomości wiązała mnie z jawą, kiedy tuż zza ostatniego domu, z czerni pierwszych krzaków uderzył upiornie przeraźliwy krzyk:

— Niemcy!!! Nieeemcy!!!......

Przeszył ciszę nocy, wtargnął między wojsko wbite w korytarze ulic, ale byliśmy tak znużeni, że ani jeden żołnierz nie podniósł głowy, ani jeden koń nie wzdrygnął się z przestrachu.

— Piąta kolumna ...— pomyślałem obojętnie zapadając w nicość snu.

Za Jasłem łuna pożarów zaczęła oświetlać noce. Szlak niemieckiej ofensywy przybliżał się do trasy naszego odwrotu — oba prądy płynęły równolegle i nie było złudzeń, który z nich jest szybszy. Odległość. którą zdobywaliśmy w największym wysiłku w ciągu całej nocy, mogła się zmieścić w godzinnej przejażdżce porannej wypoczętych żołnierzy wojsk zmotoryzowanych. W świetle dnia nieprzyjacielskie samoloty kontrolowały nasz pochód, ogień artylerii i dalekiej broni maszynowej zacinał nas jak batem. Lecz to wszystko było nieważne — nasze bataliony, pułki, dywizje topniały w forsownych marszach. Beznadziejny pościg... Czyż nie lepiej się bić? Gzież są wyżsi dowódcy, dlaczego nie prowadzą nas do walki, póki możemy się poruszać?

Nareszcie znalazł się taki dowódca. Nareszcie będziemy się bili. Zapadał zmierzch. Zgromadzono nas pod osłoną lasu, resztki różnych oddziałów, zlepiono je naprędce w plutony i kompanie. Teren klasyczny: zalesione wzgórze — tam dowództwo i odwody, nas rozsypano na stanowiskach na otwartym polu przed lasem, „okrakiem" po obu stronach szosy. Każdy wykopał dla siebie dołek strzelecki i w ten sposób powstało coś w rodzaju z dawna upragnionych „linii". Przed wyruszeniem na nie otrzymaliśmy nawet gorący posiłek.

Mój rkm znalazł się na pierwszych pozycjach, a moje stanowisko tuż przy drodze, po której prawdopodobnie pojadą czołgi. Na drogach odwrotu człowiek przeklina, że nie dają mu walczyć. ale leżąc w szczerym polu i czekając na rozpoczęcie walki, zaczyna się czuć nieswojo, ogląda się do tyłu z żalem, że tak daleko do lasu, niby w trosce, że trudno będzie donieść amunicję na wysunięte stanowiska. Wkopuje się więc w ziemię jak kret, byle głębiej, byle węższy otwór — tak powstaje regulaminowa „szczelina" chroniąca piechura przed gąsienicą czołgu. Dobrze, że przynajmniej po drugiej stronie drogi, gdzieś z tyłu, umieszczono karabin przeciwpancerny. Podobno mają też nadejść działka ppanc.

Kępy drzew majaczyły przed nami w zmierzchu. Poszły tam patrole .W mrok przezroczysty. Widać daleko, aż do nieba malowanego łunami pożarów. Artyleria opukiwała horyzont rzadko i głucho — właściwie było cicho — przeraźliwą ciszą oczekiwania. Im dłużej oczy wpatrywały się w jaśniejące dno mroku, im dłużej uszy wyszukiwały ziarnka szmerów na przedpolu, tym boleśniej napinały się nerwy i czas oporniej przepływał przez pulsujące skronie. Tak minęło parę godzin.

Niemcom nie chciało się walczyć w nocy. Powąchali z daleka i poszli się przespać.. Mieli przecież tyle czasu i tyle dróg do wyboru. Na umówiony sygnał z dowództwa na wzgórzu opuściliśmy stanowiska i powlekliśmy się w dalszą drogę, odczuwając zawód i niesmak.

Nareszcie któregoś poranka wybłękitniła się z mgły wstęga rzeki, wytęsknionej szczególnie w czasie ostatniej nocy marszowej w zupełnych ciemnościach, na drodze-niedrodze szczerbatej wykrotami i kamieniami, które starały się za wszelką cenę wyłamać nam nogi w kostkach. Ale to już za nami — dotarliśmy do kresu odwrotu!

Most wybudowany świeżo przez saperów uginał się miękko pod nieprzerwanym pochodem oddziałów piechoty, artylerii konnej, działek ppanc., taborów. Boczna dolina Sanu wchłaniała drogę wraz z całą tą przemieszaną masą wojska, dając gościnne schronienie i poczucie bezpieczeństwa. Drzewa, łąki i zagrody wieśniacze tchnęły spokojem, jakby człowiek obudził się z okrutnego snu i stwierdził radośnie, że to wszystko było tylko marą nocną i rozwiało się w jasności słonecznego przebudzenia.

Główny wąż pochodu sunął dalej po drodze, ale wiele już oddziałów zeszło z niej ścieżynami na obie strony doliny i zatrzymało się na stokach. Nasza kompania również zapadła w cień zadrzewionego jaru. W poczuciu bezgranicznej szczęśliwości rozciągnęliśmy się na trawie.

Nawet karabiny maszynowe, których głos zaczął wnikać z głębi doliny, nie zakłócały naszego spokoju. Na odwrót, przyjemnie było pomyśleć, że linia obronna Sanu czuwa i odpędza ogniem wszelkich intruzów. Może jutro zacznie się tutaj decydująca bitwa, z pewnością ofensywa niemiecka zostanie przełamana, a tymczasem my zrzucimy z siebie niedolę odwrotu i wypoczęci, odrodzeni, staniemy się walczącymi żołnierzami.

W pewnej jednak chwili nie spodobał mi się głos ckm-ów. Zbyt długie były serie — Polacy tak nie strzelali. Takie zamiatanie nieprzerwanym ogniem było typowo niemieckie, bo wróg miał amunicji pod dostatkiem. Terkotanie narastało, zbliżało się... Cóż, u diabła, tam się dzieje?

Już całą doliną szedł niepokój. Na dole, na drodze, nieprzerwany ruch wojska do przodu, ale w przodzie powstało zahamowanie — dochodziły do nas krzyki rozkazów i wzrastał gwar. Opustoszało natomiast na przeciwległym zboczu. Co raz więcej karabinów maszynowych wypełniało dolinę zajadłym warkotem.

Pojawił się zadyszany ppor. Długosz i poderwał nas na nogi:

— Powstać! Biegiem za mną na tamten grzbiet! Zająć stanowiska z kierunkiem ognia na ten oto las!...

Za chwilę już leżeliśmy na lekko pochyłym garbie, bez jakiejkolwiek osłony i rozglądaliśmy się naokoło, nie bardzo wiedząc, skąd idzie zagrożenie. Otoczył nas rój niewidzialnych owadów, wydających urywane piski o najwyższym tonie, jakby aparat radiowy chwytał czyjeś rozbiegane przeskakiwania z fali na falę. Głosy te szły z nieokreślonego kierunku i na próżno staraliśmy się ustawić do nich najmniejszą powierzchnią ciała. Od czasu do czasu przeraźliwy gwizd rykoszetu zakreślał łuk nad naszą tyralierą. Skąd pryska ten ogień? Gdzie wpijają się pociski w miękką darń naszego zbocza?...

Nowy hałas przyciągnął naszą uwagę. Zafurczało dziwacznie w czystym niebie jak żaglem na wietrze, przeleciało nad nami, raz, drugi, potem natłokiem tych głosów — to pociski artyleryjskie. Oczy pobiegły do tyłu: potężne grzyby ziemi, kurzu i dymu zaczęły się wykłębiać z grzmotem na przeciwległym stoku doliny. Każdy wybuch wytrząsał z ukrycia rozbieganych na wszystkie strony ludzi i konie. Z naszej odległości przypominało to rozdeptywane mrowisko. Zagrody zamienione w ogromne pochodnie zaszumiały jasnym płomieniem. Z natłoczonej wojskami drogi wytrysnął pióropusz różnorakich strzępów.

Trudno było doszukać się sensu naszego leżenia na otwartym grzbiecie, w środku tego gotującego się kotła, pod natryskiem z dobrze ukrytych karabinów maszynowych. Jakaś grupka bezpańskich żołnierzy, która pozostała w jarze, patrzyła na nas, jak na wariatów. Ktoś z naszych już lekko oberwał i ściskając krwawiącą rękę schronił się do jaru. Zaraziło to innych żołnierzy, to ten, to ów dawał znaki do dowódcy i nie doczekawszy się odpowiedzi zbiegał na dół. Wkrótce mało kto pozostał.

— Rzeczywiście nie ma sensu tutaj leżeć! — zawołał ppor. Długosz i wszyscy skoczyliśmy do jaru, skąd można było bezpiecznie obserwować całą dolinę, w której było już pusto jak wymiótł.

Ogień przycichł. Znów zaroiło się od żołnierzy. Wszystko zaczęło szybko wycofywać się małymi grupkami wsiąkając w ścianę lasu, pokrywającego górne partie przeciwległego stoku. Rozwiały się gdzieś kolumny wojska, rozwiały nadzieje — nie było tu żadnej linii obrony, tylko pułapka ogniowa. Na dnie i zboczach doliny pozostały rozbite wozy, uszkodzone działa, biedki z ckm-ami, trupy koni, poszarpane deski, strzępy i drzazgi. Szczególnie żałosny widok przedstawiały tak dla nas cenne, tak groźne dla broni pancernej wroga — polskie działka ppanc., nasza duma... — rozwłóczone przez oślepłe ze strachu konie po zalesionych stromiznach, nadziane dziwacznie na pnie drzew, jeszcze lśniące fabryczną świeżością, a już zamienione w szmelc.

Tak się skończyły sny o rzece San. Ale my byliśmy strasznie głodni i rozbite tabory interesowały nas przede wszystkim z tego punktu widzenia.

Już niewielu żołnierzy-odprysków z różnych oddziałów pozostało w tym lesie. Wszyscy podążali pojedyńczo lub grupami jedną dróżką i to ogólne trzymanie się jednego szlaku mogło wskazywać, że w tym kierunku właśnie oddaliły się nasze oddziały. Potem drogi się powikłały, coraz więcej było żołnierzy, przychodzili z różnych kierunków i odchodzili nie wiedząc dokąd trzeba iść. Tymczasem zapadła noc. Już mało kto szedł naszą ścieżką. Wreszcie utknęła w rzekę, która okazała się Sanem. Kręty jego bieg nic nam nie mówił o kierunkach marszu.

W ciemnościach przeciwległego brzegu czerniła się jakaś wieś. Mostu jednak nigdzie tu nie było, przechodziło się rzekę w bród, po kolanach w wodzie. Kilku żołnierzy już pluskało daleko od brzegu. Inni wołali z uporem:

— Łódka! Łódka!

Ale drugi brzeg był głuchy na wszelkie wołania i ani jedno światełko nie paliło się we wsi. Trzeba było zrezygnować z łódki, co uczyniliśmy niechętnie ze względu na poranione nogi. Przebrnęliśmy San nie zdejmując butów.

Mając rzekę za sobą oddaliśmy się bezkrytycznie złudnemu poczuciu bezpieczeństwa, zupełnie nie dbając o to, że już drugi raz przekroczyliśmy San. Ogarnęło nas niezmożone pragnienie odpoczynku. Mały domek na skraju wsi otworzył przed nami drzwi, bez wahania i zbędnych słów.

Gospodarz rozesłał siano na podłodze, każdy z nas zrzucił z siebie broń i oporządzenie — mała izba zamieniła się w arsenał. Zwaliliśmy się na siano.

Zdawało się, że dopiero przed chwilką zamknąłem oczy, a już ktoś trząsł mną i żądał, abym się obudził. W izbie wszystko w ruchu — wokół pełno szeptów: Kawaleria niemiecka we wsi!...

Skąd kawaleria u Niemców? Przecież wojska niemieckie są całkowicie zmotoryzowane. Ale gospodarz wiedział na pewno. Nie tylko oddział niemieckiej konnicy znajduje się na przeciwnym krańcu wsi, ale w ogóle cała okolica jest pełna nieprzyjacielskich wojsk, a główne siły walą pobliską szosą z Dynowa do Dubiecka...

Kilka godzin snu zrobiło swoje — czułem się zupełnie rozbity i wyczerpany. Po wepchnięciu siłą opuchniętych nóg w mokre jeszcze buty przeżywałem przy każdym kroku prawdziwe katusze. Wiadomości o Niemcach przyjęto z rezygnacją — stało się, dopust Boży. Pozostaje nam tylko jedno: próba wymknięcia się z tego „worka". Na dworze zaczynał przeświecać pierwszy brzask i pachniało świeżością rosy.

Gospodarz, chociaż wewnętrznie rozdygotany, usiłował myśleć za nas.

— Nie możecie iść uzbrojeni — powiedział z przekonaniem. — Widzę przecież, że ledwo zipiecie. Przecież nie będziecie w pojedynkę walczyć przeciw takiej sile. Jeżeli Niemcy złapią was z bronią, a na pewno ich spotkacie, to albo ubiją na miejscu albo wezmą do niewoli a broń sobie zabiorą. Wierzcie mi, dobrze mówię. Kiedy tak jest, jak teraz, najlepiej wyglądać na dziadów. Ukryjemy tutaj broń i jeżeli was Niemcy zaczepią, powiecie im, że już was rozbrojono i pozwolono iść do domu. Słyszałem, że niektórych tak puszczają na linii frontu, a potem łapią na tyłach. Dobrze mówię!...

Widząc nasze niezdecydowanie wieśniak zaczął zbierać karabiny i wynosić między zakamarki nędznych zabudowań gospodarskich. Regulaminy wojskowe nie przewidywały takiej ewentualności. Rozbroić się samemu? Czy to nie tchórzostwo, może zdrada... Pięknoduch inteligencki zżymał się jeszcze we mnie, kiedy ulegając zdrowemu chłopskiemu rozumowi złożyłem swój karabin w spracowane ręce wieśniaka.

Zostawiliśmy nawet pasy, aby wyglądać jak najbardziej dziadowsko. Sami pomogliśmy gospodarzowi ukryć broń. Uścisnęliśmy jego rękę, pokazał nam ścieżkę przez zalesione wzgórze, na wschód i wsiąkliśmy w mgliste ostatki nocy.

Było już całkiem jasno, kiedy po drugiej stronie pagórka otworzył się przed nami szeroki widok na dolinę Sanu. Patrzyliśmy przed siebie jak zahypnotyzowani. W dole, po szosie, ciągnął się nieprzerwanie wąż czołgów, pancerek, samochodów ciężarowych, motocykli. Jakby dla ujęcia tego oszałamiającego widowiska w odpowiednie ramy, gdzieś od tyłu tego potężnego najazdu wroga wyfrunął pojedyńczy pocisk artyleryjski i zakreśliwszy furgotem niewidzialny łuk, uderzył daleko w przodzie w zwarcie zabudowany folwark, zamieniając go natychmiast w ognisko dla olbrzymów.

Kręciliśmy się po zalesionym wzgórzu, jak zwierzyna zagnana do myśliwskiego kotła. Nie było wyjścia z tej wyspy, oblanej otwartymi polami. W tyle, za nami, na tle nadbrzeżnych zarośli Sanu przesuwały się sylwetki kawaleryjskich patroli.

Jakiś młody człowiek w cywilnym ubraniu krążył niespokojnie koło małej leśniczówki na naszym wzgórzu. Zbliżył się do mnie i gorączkowo zawołał:

— Jestem podchorąży! Przebrałem się w leśniczówce po cywilnemu. Proszę na tym papierze poświadczyć, że sytuacja tego wymagała...Leśniczy już podpisał...

Wtykał mi do ręki papierek. Podpisałem i młodzieniec chyłkiem, jak Indianin Karola Maya, znikł szybko w zaroślach.

Postanowiliśmy czekać do nocy i w ciemnościach wymknąć się z tego potrzasku. Ale nie upłynęło parę denerwujących godzin, kiedy wrzask niemieckich rozkazów wypełnił cały las i w naszych przerażonych oczach niespodziewanie blisko wypęczniały konie, osadzone na miejscu zakurzonymi butami niemieckich kawalerzystów. Zobaczywszy tuż przed sobą nieprzyjaciela, którego potężne siły urosły w naszej zmęczonej wyobraźni do ogromu jakiegoś żywiołowego kataklizmu — poczułem się wypruty ze wszystkiego.

Prawdopodobnie Niemcy zbliżyli się w przekonaniu, że jesteśmy już jeńcami, bo nikt z nich nie skierował na nas broni i nie zażądał podniesienia rąk. Rzeczywiście przedstawialiśmy widok żałosny — brudni, wychudli, z obnażonymi głowami, jedynie z porozpinanych, postrzępionych mundurach.

Jeden z jeźdźców krzyknął łamaną polszczyzną:

— Co wi tutaj robite?

Zapadła ponura cisza. Wreszcie jeden z towarzyszy ostatniego noclegu, o wyglądzie dobrodusznego chłopka, odezwał się głośno, z powolnością i spokojem człowieka wsi:

— Wasze wojsko wzięło nas w niewolę i kazało iść do domu, do chałupy...

Powtarzał jak z nut słowa gospodarza, a jakiś stojący obok niego cwaniak uprawdopodobnił tę historyjkę, dodając:

— Powiedzieli nam: Idźcie sobie nach hause...

Tłumacz poszwargotał ze swoim dowódcą, a ten uśmiechnął się zjadliwie. Zaraz potem tłumacz wrzasnął do nas: „Stać tu, nie ruszać się!" — a dowódca również coś wrzasnął, ale po niemiecku, do reszty swoich żołnierzy, którzy natychmiast ruszyli w różne kierunki, widocznie dla przeszukania, czy nie ma więcej Polaków w tym lesie. Dowódca z tłumaczem pozostali, a tłumacz dla wyjaśnienia sytuacji zdjął z pleców karabinek.

— Źle jest... — zaszumiało mi w głowie. — Uśmiech tego Szwaba nie wróży nic dobrego. W najlepszym wypadku zapędzą nas do obozu jeńców...

Obóz jeńców... Może, gdyby ci Niemcy należeli do jakiejś nowocześniejszej broni, nie odżyłoby we mnie ważne w tej chwili wspomnienie, ale ci kawalerzyści mieli w sobie coś staroświeckiego, jakby to się działo podczas wielkiej wojny. Los zdarzył, że kiedyś przed fatalnym Wrześniem przeczytałem w „Przewodniku Katolickim" historię z tamtej wojny o jednym z obozów jenieckich w Prusach Wschodnich w którym na skutek złego traktowania przez Niemców zmarło kilka czy kilkanaście tysięcy rosyjskich żołnierzy. Cały olbrzymi obóz wsiąkł w pagórki cmentarne. Nagłe przypomnienie tej historii zaalarmowało mnie gwałtownie. — Trzeba uciekać! Za wszelką cenę — natychmiast!

Równocześnie pochwyciłem rozpaczliwy szept:

— Oni zabiją nas jak psy... Zrób coś... Wymyśl...

Nie ma lepszego bodźca od świadomości, że ktoś obok, kolega, pokłada w tobie resztę nadziei. Otępienie ustąpiło. Odżyłem.

Szybka ocena sytuacji pozwoliła bez trudności ustalić prosty plan działania. Staliśmy na skraju naszej grupy, pilnowanej przez dwóch jeźdźców. Patrzyli z wysokości siodła, ale ostatnich żołnierzy z pewnością widzieli tylko częściowo. Za nimi rosły gęste krzewy. Trzeba było zrobić tylko parę kroków wstecz, aby znaleźć się przy nich.

Dałem dyskretny znak koledze i zaczęliśmy wycofywać się tyłem. Wpatrując się nieprzerwanie w twarze Niemców, wykorzystywaliśmy każde osłabienie ich uwagi. Wkrótce poczuliśmy na plecach opór gęstych gałęzi. Kolega z trudem wytrzymywał to niedostrzegalne tempo, denerwował się, musiałem go hamować i baczyć, aby za wcześnie nie dał nura w zarośla.

— Stój... — szeptałem prawie nie poruszając wargami. — Dam ci znak... wtedy na ziemię... i w krzaki...

Odpowiedni moment nadszedł właśnie, jak można było przypuszczać. Jeden z wysłanych na poszukiwania Niemców powrócił, popędzając przed koniem paru nowych biedaków. Dowódca i tłumacz równocześnie zwrócili głowy ku nim.

— Już! — i ściągnąłem kolegę za sobą na ziemię, w gąszcz krzaków.

Nawet najbliżej stojący nasi towarzysze, również zagapieni na nowoprzybyłych, nie spostrzegli naszego zniknięcia. Niestety krzaki zasłaniały tylko z jednej strony, z tyłu ciągnął się iglasty las z nagimi pniami drzew i prawie bez podszycia.

— Leż pyskiem na dół... Nie ruszaj się... — syknąłem w ucho towarzysza.

Wtuliliśmy się w trawę wstrzymując oddech. Serce zamierało boleśnie na każdy odgłos. Minął chyba wiek. Nareszcie rozległy się niemieckie wrzaski i cała grupa pieszych i konnych oddaliła się a hałas po niej rozwiał się w głuszy leśnej. Jeszcze przez dłuższy czas leżeliśmy bez ruchu, zanim utrwaliła się pewność, że można już oderwać się od ziemi.

O zmroku ostrożnie wychyliliśmy się z lasu. Radość zalewała serce. Poczułem wilczy głód.

Eugeniusz Romiszewski

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

KŁOPOTY KOŚCIOŁA ANGLIKAŃSKIEGO

Generał Sir Wilfrid Linsell, który jest jednym z „komisarzy" Kościoła anglikańskiego, opisuje na łamach „Sunday Times " kryzys, jaki obecnie przeżywa system parafialny w tym Kościele. Kryzys ten spowodowany jest przede wszystkim brakiem odpowiedniego napływu kandydatów na stanowiska duchownych, wskutek czego zrezygnować musiano z dawnej zasady, że każda wieś posiadać powinna własnego proboszcza. Rocznie szkolonych jest obecnie w stanie duchownym ok. 360 kandydatów, zapotrzebowanie zaś wynosi przynajmniej 600.

Gen. Linsell skarży się też na słabe wyposażenie proboszczów, które wynosi średnio 465 funtów rocznie. O ile w całym kraju płace pracownicze wzrosły od r. 1938 z górą drukrotnie, o tyle pensje duchownych podniosły się tylko o 12.5%.

NA NAJDALSZYM SKRAJU

Najbardziej na zachód wysuniętym teatrem angielskim jest „Minack", położony w Kornwalii na skale w Porthcurno, niedaleko od Land's End. Grają tam obecnie rodzaj romantycznej legendy „Tristan of Cornwall", związanej z dawnymi celtyckimi mitami tego kraju. Wykonawcami są amatorzy Kornwalijczycy, którzy niedawno utworzyli zespół aktorski.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji. Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo: „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowska, 15, rue Godfroid de Bouillon, Bruxelles 3 — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs., Przedstawicielstwo „Libella" Librairie, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają: „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Schiphhorst 2. i Księgarnia „Wiedza", Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P. K. S. U. Veritas. Section Suise, Case Postale 19, Fribourg 2 — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c, Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol., pocztą lotniczą 5 dol. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue Deroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12. Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734